MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 49 WARSZAWA, 29 LISTOPADA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

NAUKA A CYWILIZACJE

I

ZA naszych czasów nabyła nauka pewnego przymiotu, który pozwala wróżyć dobrze o jej przyszłości, a mianowicie stała się skromną. Co za różnica z okresem tak niedawnym, kiedy „ostatni wyraz nauki" uważało się za koniec wszelkich roztrząsań, już niepotrzebnych, bo wszystko już wykryto i wszystko już wiadomo. Można było powiedzieć o nauce ówczesnej, że „wszystkie rozumy zjadła", a dziś słychać coraz częściej głosy, odzywające się z powątpiewaniami, czy nauka a rozum... czy to to samo? Albowiem, czyż wszystkie odkrycia rozumowe są dziełem nauki?

Nasuwa mi się przykład pewien, radykalny, trochę drastyczny, ale stanowczy, wyrazisty: W znanem całemu światu naukowemu dziele Westermarcka o pojęciach moralnych czytamy, jako niektóre ludy nie przypuszczają, iżby można było być ojcem dwojga dzieci naraz: matkę bliźniąt uważają za cudzołożnicę i zabijają przynajmniej jedno z tych dzieci. Przesąd ten istnieje atoli tylko u kilku ludów, jako coś wyjątkowego. Czyż ta (olbrzymia) większość ludów prymitywnych, przesądu owego nie podzielająca, zawdzięcza swój lepszy sąd o sprawie owej medycynie, fizjologii, anatomii? Czyż to z rozwoju nauk? Ależ u nich nie zanosi się ani nawet na to, żeby wiedzieli, że nauka wogóle istnieje.

Możnaby zebrać gruby tom przykładów i wykazać na nich wielce uczenie, jako rozum nie z nauki się wywodzi, bo może działać i rozkwitać bez niej. Rozwój nauk zależy od rozwoju rozumu, a nie przeciwnie. Dość gdy przy rozwoju nauk zyska też rozum na rozwoju, i... oby zawsze tak było.

Zdaniem Erazma Majewskiego geneza kalendarza wcale nie w astronomii, lecz w praktycznej astrognozji; ani też łuku ni ognia nie wynaleziono z fizyki, lecz potem dopiero fizyki pytano, jak to i owo uwieńczyć teorią. Niebo stało się też dopiero później przedmiotem „myślenia matematycznego". Nie astronomia wywołała matematykę, lecz przeciwnie, a dopiero potem przyczyniła się astronomia do dalszego rozwoju matematyki. Arytmetykę zaś wyrobiły po prostu potrzeby rzemieślników i kupców, następnie bankierów. Bez matematyki powstał *abacus*, chiński *suanpan* i rosyjskie *szczoty*. Wszystko to z rozumu tedy, bez uczoności.

Całe cywilizacje istnieją bez nauki, np. turańska. Nie mało atoli rozumu wymagało to np. gdy sztab dżingishańskiej armii tak obmyślił i obliczył działania strategiczne na wielkich przestrzeniach, iż obie bitwy stanowcze, roku 1241, nad rzeką Sajo na Węgrzech i pod Lignicą stoczono równocześnie, bo z różnicą zaledwie ośmiu dni — co nie stanowi żadnej różnicy przy ówczesnych środkach komunikacji i porozumienia się. U nas matematyka stanowi od dawna nieodzowne instrumentum strategii, ale wodzowie Temudżina matematykami nie byli, a generałowie chińscy do wczoraj jeszcze bywali analfabetami. Nie wydawała uczonych Turcja, a drżały przed nią trzy części świata.

II

Na niczem może nie sprawdza się lepiej samo założenie mojej nauki o cywilizacji, jak na tym fakcie, że stanowisko — nauki jest rozmaite w różnych cywilizacjach. Arabowi nie tkniętemu europeizacją, lecz inteligentnemu, dano do ręki lunetę i kazano spojrzeć na gwiazdy. Przyjrzawszy się dobrze nocnemu niebu, powiada. „Dlaczego ludzie Zachodu chcą zawsze wszystko posiąść i wszystko zdobyć? Za naszemi nielicznemi gwiazdami my widzimy Boga, który kryje się dla was za waszemi milionami gwiazd... Znamy nasze krainy, nasze wielbłądy i nasze kobiety. Nadmiar i chwała należą się Bogu. Jeżeli celem mądrości jest dodawać gwiazdę do gwiazdy, to nasza głupota jest bardzo przyjemna".

Przenieśmy się do Indyj. „Brak ścisłości sta-

wia Hindusa poniżej mierności w nauce. Przyswoili sobie, czego się nauczyli od Arabów, a potem od Europejczyków: ale nigdy niczego sami nie wykryli". Wiemy, że o przyrodniczych naukach nie mają pojęcia: ale może z humaniorów? „Pośród tysięcy tomów, ułożonych przez Hindusów przez trzy tysiące lat, niema ani jednego, któryby zawierał choć kilka dat ścisłych historycznych. Co do historii. Hindus posiada szczególne zdolności widzenia rzeczy takiemi, jakiemi nie są, co zresztą nie jest ich wyłączną specjalnością. Umieją przekręcać fakty, których sami byli świadkami i to w najlepszej wierze. Le Bon nazywa tę właściwość *psychologie deformante.* Wiadomo, że różnica o kilka wieków stanowi w chronologii hinduskiej omyłkę bardzo częstą, a nie największą.

Hindusi zajmują posady na poczcie i na kolejach, prowadzą doskonale lokomotywę: w bankach i finansach wogóle olbrzymią większość urzędników podrzędnych stanowią Hindusi. Ale są wręcz niezdatni do niczego, gdzie trzeba twórczości i inicjatywy.

Naszej nauki nie rozumieją, a poniekąd nią pogardzają. Dla sławnego Rabindranata-Tagore „życie oparte na wiedzy jest powierzchowne; goni za sukcesem, za sprawnością i za dokładnością matematyczną, pozostawiając poza granicami swojej kalkulacji lepsze pierwiastki natury ludzkiej". Rozumieją przez to swoją oryginalną bigoterię, bo trudno za co innego uważać ich kulty religijne. Hindusowi z cywilizacji bramińskiej wydaje się, że on żyje stale w przedsionku bóstwa. Powszechnie tam jest przyjęte między *panditami* (uczonymi), jako Hindusom obojętne, kto rządzi Indjami, bo Hindus zajęty jest wyłącznie sprawami boskiemi. Do jakiego stopnia nie rozumieją cywilizacji łacińskiej i jak dalece różnią się od niej duchowo, znać z użytego przez Kiplinga powiedzenia włożożonego w usta krajowca: „Anglicy mówią zawsze prawdę i dlatego my, krajowcy, nie możemy ich zrozumieć". Być może, że poczucie bezsilności zamienia się u nich w pogardę. To samo, co powiedział Tagore, to samo brzmi w języku popularnym, jak następuje: „Czyliż ja się nie czuję — rzecze *pandit* typu bengalskiego — intelektualnie wyższy od niego dziesięć tysięcy razy? Bo czemżeż on jest istotnie w porównaniu ze mną? Bykiem"; *Pandit* widział w Angliku tylko siłę materialną.

A tymczasem nas zadziwia w nich właśnie... brak sił duchowych! Jak to odmienność cywilizacji powoduje odmienność kryteriów i miar! Dawno już Le Bon zmierzył ich, że „w nauce są zerem", a ich wiedza „spekulacją dziecinną", ich zaś dzieła historyczne zbiorem legend absurdalnych, gdzie ani jednej daty i prawdopodobnie ani jednego faktu ściśle określonego.

Dydaktycy mają często sposobność stwierdzić, jako odwrotnym bywa stosunek dobrej pamięci a zdolności do samodzielnego myślenia. Pośród Hindusów trafiają się przykłady pamięci zaiste cudownej. W r. 1897 zjawił się w mieście Laknau *pandit* imieniem Dhanaradza, ślepiec, który na pamięć umiał „6.380. 700 *slok* sankryckich, czyli mniej więcej 500 tomów. Wiele z tych rzeczy było dotychczas nieznanych, a rękopisów, w których się one zawierają, dotychczas nie odkryto. Dhanaradza, który oczywiście uczył się był ze słuchania, przyswajał sobie przeciętnie po tysiąc *slok* dziennie".

Toteż odwołują się do pamięci nawet w najlepszej swej szkole „Gurukula"; mającej być warownią odrodzenia hinduizmu bramińskiego, lecz warownią urządzoną nowocześnie. Tam językiem wykładowym jest *hindi* dla wszystkich przedmiotów. „Opracowali już kilka podręczników, na razie zaczynając od tłumaczeń i sprawa się ciągle posuwa". Ale reguły gramatyki sanskryckiej obkuwają tam chłopcy na pamięć, nic nie rozumiejąc. Nauczyciele udzielają wyjaśnienia, jak sanakrytu nie można uczyć sposobem nowożytnym a uczniowie będą to mieli później i to we właściwym czasie wytłumaczone".

Uprzedza to źle do zdolności intelektualnych w cywilizacji bramińskiej; niczem się ich nie ćwiczy, nie ostrzy umysłu. Powiedziano o kobiecie; „winna jeno modlić się do Kryszny, myślenie pozostawiając kapłanom", ale i mężczyznom nie wiele wytyczono pola do myślenia.

III

Przejdźmy do Chin. Zwróćmy uwagę na swoisty ich szereg „sztuk wyzwolonych", których jest sześć, mianowicie: ceremonie, muzyka, powożenie, strzelanie z łuku, pisanie i rachunki. „Z biegiem wieków pisanie rozwielmożniło się kosztem innych: wiadomo, jako chiński uczony aż do śmierci uczy się sztuki pisania: treść zaś uczonej pisaniny ustalona jest od wieków na wieki. Charakterystyczną jest polemika Ku-Hung-Minga (nieraz już cytowanego) przeciw angielskiemu sinologowi, a w swoim czasie pastorowi w Kantonie: „Faber zauważył kiedyś, że Chińczycy nie posiadają systematycznej metody naukowego badania. Istnieje jednak klasyczna książka p. t. „Najwyższe Wykształcenie", która w oczach wielu cudzoziemców uczonych uchodzi wprawdzie za zbiór płytkich komunałów, ale przecież ustala porządek, wedle którego winny postępować nauki i badania". Czyż mógł nowoczesny mędrzec chiński lepiej wyrazić, że nawet nie pojmuje, o co chodzi, gdy mowa o metodzie naukowego badania? Tenże Ku-Hung-Ming przyznaje w innem miejscu, co następuje: „Ciekawe, że nawet takie słowa europejskie jak: logika, albo: wiedza ścisła — nie mają równoznaczników w języku chińskim". Niedostatek ten wyjaśnia zaś w sposób następujący: „Chińczycy tak, jak dzieci żyjące sercem i uczuciem, nie mają zamiłowania do abstrakcyjnych gałęzi wiedzy, poprostu dlatego, że nie mogą znaleść w nich duszy i uczucia. Faktycznie więc do wszystkiego, czego nie może traktować uczuciowo, n. p. do tablic i statystyk, Chińczyk czuje niechęć graniczącą z obrzydzeniem". Nieprawdaż, jak niemożliwe wzajemne zrozumienie? Uczony chiński pomieszał rzeczy i sprawy, które nie mają związku z sobą: „gdzie Rzym, gdzie Krym"? Dla niego atoli widocznie się to jakoś wiąże, boć inaczej nie byłby tego napisał! A już— też to jego „chińskie serce"! Oto chińską rzemieślniczą nadzwyczajną dokładność tłumaczy tem że „Chińczycy żyją sercem". Logika chińska innemi chadza drogami, a zatem uczoność też musi być inna. Nauka zawisłą jest przedewszystkiem od rodzaju cywilizacji.

A co do komunałów, istotnie cała klasyczna chińska nauka i literatura nie wznosi się ponad nie — przynajmniej tak sądzić je musi się, gdyby stosować miary z cywilizacji łacińskiej. Ich „Wysoka Nauka" którą się tak pysznią, jest przetłumaczona na łacinę i składa się z 202 wyrazów,

a w przekładzie niemieckim daje 56 wierszy i doprawdy nie zawiera dla nas nic szczególnego: same komunały.

IV

Zajrzyjmy jeszcze do cywilizacji żydowskiej. Żydzi są istnymi fanatykami co do ślęczenia nad książką a jeden z najwybitniejszych pisarzy żargonowych, Opatoszu, ułożył apoteozę móla książkowego. Ale choć pożerali książki, ugrzęźli w zdolnościach biernych, twórczych nie okazując. Zbyt długo trwały wątpliwości, czy godzi się uprawiać nauki świeckie za przykładem nieżydów i zająć miejsce w nieżydowskim korowodzie. Powtarzało się to w każdym okresie. Żyd rozumuje dużo i zazwyczaj wielostronnie, ale też niemal wyłącznie dedukcyjnie, a założenie staje się dla niego dogmatem. Pochodzi to z właściwości studjów talmudycznych, na których mózg żydowski wyćwiczył się. Toteż w rozumowaniu czysto racjonalistycznem są bardzo biegli, ale też dziwnie bezwzględni.

Czynniki cywilizacji żydowskiej (gromadność przedewszystkiem) nie sprzyjały oryginalności twórczej, która zawisła jest wszędzie i zawsze od dwóch warunków, a te są: silny personalizm, tudzież filozoficzne ujmowanie spraw. Wybitniejsze indywidualizmy powstały w Izraelu tylko pod wpływami nieżydowskiemi. Indywidualizm żydowski objawia się li tylko buntowniczo. Największy judofil, Anatol Leroy-Beaulieu, stwierdził (1893), jako są tylko uczeni żydowscy, lecz niema nauki żydowskiej: żadnego systemu naukowego — żydzi nigdy nie wytworzyli. Właściwie jedyną ich nauką prawo, lecz filozofia prawa żydowskiego niemożliwa i sam Auerbach musiał się ugiąć przed tą niemożliwością. Dawid Neumarck mimo niesłychanego ogromu erudycji nie zdołał jednak wykazać nici przewodniej w średniowiecznem żydowskiem filozofowaniu. Jedyna żydowska teza filozoficzna, to teza sakralna o mesjaniźmie żydowskim. Jedno tylko udowodnił, Neumarck: że znaczna część ideologii żydowskiej da się wyprowadzić z ich rozważań o przymiotach boskich. Ale ani mesjanizm, ani ślęczenie nad atrybutami, nie mogą służyć za podstawę naukom. Ani nawet arabskiej nauce w Hiszpanii nie dali nic oryginalnego, a z upadkiem nauki arabskiej, upadła też nauka świecka żydów.

To samo zjawisko powtarza się zawsze: Żydzi nabierają kultury umysłowej, gdy otoczenie nieżydowskie rozwinięte jest wysoko: lecz gdzie otoczenie na niskim poziomie, oni również. Podnoszą się i upadaią umysłowo równolegle i równocześnie ze swemi akumami i gojami każdego kraju. Powiedział też o nich tenże wymieniony powyżej największy judofil. „Rzekłbyś że jego (Izraelowe) skrzydła nie mogą się roztwierać samo z siebie: że trzeba im pomocy obcej, by się rozwijały”.

Jest tedy cywilizacja żydowska sama przez się niezdatna do wytworzenia nauki pozasakralnej, a gdy żyd uprawia nauki za wzorem nieżydów, odżydza się zazwyczaj, przynajmniej do pewnego stopnia, a często całkowicie. Od dłuższego czasu należy uwzględniać ten fakt, jako nie wszystko należy do cywilizacji żydowskiej, co od żyda pochodzi.

Stanowisko nauki zależy tedy przedewszystkiem od cywilizacji, w której obrębie ona się wykluwa i rozwija, lub też wykluć się nie może. Na sprawy nauki cywilizacja wywiera wpływ stanowczy. Jak to pogodzić z kwestią objektywizmu nauki, bezwzględności wykrywanych przez nią prawd? czy to są prawdy naukowe, czy też... cywilizacyjne w szaty nauki przybrane? Zachodzą co do tego stosunki rozmaite, wielorakie, reguły powszechnej na to niema[1]).

FELIKS KONECZNY

[1]) Dzieła tu cytowane (w porządku chronologicznym):

Gustave Le Bon: *Les civilisations de l'Inde. Nouvelle éd. Paris 1900.*

Edward Westermarck: *Ursprung u. Entwickelung der Moralbegriffe. Deutsch* v. Leopold Katscher. *Leipzig 1907.*

Ludwik Harald Schuetz: *Die Hohe Lehre des Confucius, oder die Kunst weise zu regieren. Ein Beitrag zur Kenntniss der Sprache u. Kutur Chinas. Frankfurt a/M 1909.*

Feliks Koneczny: Dzieje Rosji, tom I. Warszawa 1917.

Rabindranath Tagore: Nacjonalizm. Tłum Wład. Skoraczewski. Warszawa 1921.

Karol Gjellerup: Pielgrzym Kamanita. Romans starohinduski. Przeł. F. Mirandola. Poznań 1923.

Erazm Majewski: Nauka o cywilizacji, tom IV Warszawa 1923.

Jadwiga Marcinowska: W upalnem sercu Wschodu. Wrażenia z podróży po Indjach, Egipcie, Cejlonie i Jawie. Lwów. 1925.

Ku-Hung-Ming: Duch narodu chińskiego. Tłum z angielskiego Józef Targowski. Kraków 1928.

Rudjard Kipling: Kim. Tłum. Wilhelm Mitarski Warszawa (1927).

T. E. Lawrence. Bunt Arabów. Przekład Janiny Sujkowskiej, Warszawa (1929).

SPRAWA RUSKA NA ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

(Dokończenie cz. III)

OTO na pierwszą wieść o wybuchu ruchu rewolucyjnego w marcu r. 1848 w Wiedniu i o ogłoszeniu manifestu cesarskiego z 15 marca zapowiadającego nadanie Konstytucji, utworzył się we Lwowie komitet narodowy, który ułożył adres do cesarza, domagający się autonomii dla Galicji, polskiego języka narodowego w urzędach i szkolnictwie, zniesienia pańszczyzny, gwardii narodowej i wojska krajowego pod nadzorem polskich oficerów. Adres ten, opatrzony wielu tysiącami podpisów Polaków i Rusinów, doręczyła deputacja z ks. Leonem Sapiehą na czele gubernatorowi Stadionowi; w parę dni później wyjechała osobna deputacja do Wiednia, do cesarza. z adresem szerszym, ułożonym w porozumieniu z Krakowem, oświadczającym się na wstępie za wskrzeszeniem niepodległej Polski, jako „ostatecznego kresu naszych życzeń, a dla tej nadziei gotowi jesteśmy przelać krew, oddawać życie i majątek”.

Równocześnie ze zgromadzenia narodowego we Frankfurcie nad Menem doszła wiadomość o zapadłej tam uchwale, że „Honor Niemiec wymaga, aby hańba ciążąca na Niemcach przez rozbiory Polski była zmazaną wskrzeszeniem Polski”. Gdy deputacja polska była 6 kwietnia życzliwie przyjętą przez cesarza, a potem arcyxs. Jan oświadczył deputacji, że „rozbiór Polski był największem nieszczęściem dla Europy, a wskrzeszenie Polski jest konieczne, wystraszona biurokracja i sfery wojskowe postanowiły użyć wszystkich wpływów przeciwko realizacji żądań polskich. W kwietniu

1848 z błahej przyczyny doszło w Krakowie do rozruchów i do zbombardowania miasta przez generała Schlicka, we Lwowie zaś zdecydował się Stadion zaszachować Polaków grupą zjednanych sobie Rusinów, między nimi biskupa sufragana ks. Jachimowicza i kanonika Kuziemskiego (późniejszego odstępcę nawracającego, lud chełmski na prawosławie). Z inicjatywy Stadiona zajęli się urzędnicy gubernialni organizacją stronnictwa ruskiego *„Hołowna Rada Ruska"* która uchwaliła program, składający się z dwóch głównych punktów: 1) sprzeciwić się wszelkim żądaniom Polaków i 2) żądać podziału Galicji na polską zachodnią i ruską wschodnią. W tym duchu uchwaliła rada adres do cesarza, który podpisali obok niewielu Rusinów także Niemcy, urzędnicy gubernialni, a Stadion dodał od siebie gorące poparcie. Za gorliwą pracę około utworzenia *Hołownej Rady* otrzymał urzędnik gubernialny Eminger 300 zł. r. „remuneracji".

Tak narodziło się pierwsze stronnictwo ruskie, protestujące przeciwko związkowi z Polakami i przeciw idei niepodległościowej polskiej. Ta sama *Hołowna Rada* w ścisłem porozumieniu ze Stadionem wysłała delegację złożoną z dwu księży (Borysikiewicza i Einilewicza) i jednego kleryka (Al. Zaklińskiego) do Pragi na zjazd słowiański, chociaż w delegacji polskiej rady narodowej byli Rusini reprezentowani. Delegacja otrzymała od Stadiona listy polecające do rządu krajowego w Pradze, a po drodze w Krakowie instrukcje od osławionego generała Schlicka, „pogromcy" rewolucji w Krakowie. Na kongresie, który zebrał się z końcem maja r. 1848 (bliżej opisał przebieg kongresu Wład. Wisłocki), ks. Borysikiewicz prosił o przyjęcie „nowej narodowości" do federacji słowiańskiej, a w czasie rozpraw delegaci *Hołownej Rady* wystąpili w sposób wrogi i zjadliwy przeciwko idei polskiej i żądaniom autonomicznym. Florjan Ziemiałkowski pisze w swoich „Pamiętnikach", że kleryk Zakliński wołał zapalczywie, przymilając się Austrii, że „Polska jest trupem zbutwiałym, Austria zaś dębem zieleniejącym nadzieją" i t. p. Gorąco na to reagował poeta ruski i więzień polityczny Kacper Cięglewicz, jako członek wspólnej delegacji rady narodowej: „Hańbą jest—mówił—i krzywdą dla Rusina odrywać się od Polski. Jam też jest Rusin, lecz niemniej jestem Polakiem. Unja między Polską i Rusią jest odwieczna. Ze ścierania się dwóch narzeczy powstał ów klasyczny język polski, który wy odrzucacie". Ten sam Cięglewicz napisał osobną broszurę „O czerwono-ruskiej mowie", w której stara się wykazać, że Rusini są odłamem polskiego narodu.

Trzecim terenem działalności *Hołownej Rady* wespół z rządem były wybory do pierwszego parlamentu austriackiego. Z wyborów wyszedł także Stadion, który w parlamencie zasiadł obok chłopów ruskich i nimi kierował. Głosowali oni za każdym wnioskiem reakcyjnym i wywołali tem takie oburzenie ludności wiedeńskiej, że później po wybuchu rewolucji październikowej musiał ich prezydent Smolka bronić przed zemstą tłumów. W komisji konstytucyjnej parlamentu rząd wniósł wniosek o podział Galicji. Wniosek ten popierał biskup ks. Jachimowicz argumentem, że „między Polakami i Rusinami istnieje odwieczna i śmiertelna nienawiść". Nie przekonał jednak rząd większości komisji oprócz Czechów i jednego Tyrolczyka. Wniosek upadł i dopiero w r. 1853 w czasie reakcji rząd przeprowadził podział Galicji na dwa okręgi administracyjne, który później został zniesiony na żądanie namiestnika Agenora Gołuchowskiego.

Rusini trzymali się ściśle swego programu sprzeciwiania się wszystkiemu, czego zażądają Polacy. Znakomity austriacki mąż stanu, Fischhof dając w dziele „o polityce narodowej w Austrii" charakterystykę polityki poszczególnych narodowości, napisał o polityce ruskiej: „Rusini nie mają polityki własnej: ich polityką jest sprzeciwiać się wszystkiemu czego chcą Polacy".

Od chwili utworzenia *Hołownej Rady* rozpoczęła się otwarta walka biurokracji austriackiej przeciwko Polakom. Na zapowiedź ze strony polskiej, że w dniu 3 maja 1848 nastąpi zniesienie pańszczyzny, rząd uprzedził obywateli polskich i ogłosił już 22 kwietnia patent cesarski z 17 kwietnia o zniesieniu pańszczyzny z dniem 15 maja „za wynagrodzeniem właścicieli kosztem państwa". Później przy wykonywaniu tego patentu wynagrodzenie to spadło na cały kraj w formie podatków „indemnizacyjnych", a z powodu nieuregulowania służebności gruntowych i lasowych wywołano ruch radykalny chłopów przeciw panom, który w Galicji Wschodniej przybrał drażliwy charakter walki socjalnej przeciw polskim dworom o „lasy i pastwiska".

Na polu szkolnictwa cofnięto rozporządzenie z 29 września 1848 o wprowadzanie języka polskiego w szkołach wyższych i średnich, motywując to cofnięcie protestem *Hołownej Rady*, że „kraj nie życzy sobie języka polskiego". Szkoły średnie i uniwersytet lwowski zgermanizowano, a Rusinom przyrzeczono, że w przyszłości, kiedy się język ruski wykształci, otrzymają dla siebie uniwersytet. Na razie otrzymali katedrę języka i literatury ruskiej dla świętojurcy ks. Jakóba Głowackiego, który później w r. 1866 przeniósł się na intratniejszą posadę w Wilnie... pod rządem rosyjskim.

Spisy szacunkowe ludności w r. 1850 i 1857 przeprowadził rząd w ten sposób, że w całym kraju okazała się większość greko-katolików i Rusinów, wbrew odmiennym wynikom spisu z r. 1848. Najdotkliwszym jednak ciosem dla polskiego ludu, który dla braku kościołów i duszpasterzy gromadnie przeszedł był do obrządku greko-katolickiego, była systematyczna akcja „oczyszczania" cerkwi od „naleciałości" polsko-łacińskich. Władze świętojurskie rozkazały usunąć z cerkwi organy i obrzędy unijne, zakazały pieśni i kazań w polskim języku tak, że stopniowo nabożeństwo w cerkwi greko-katolickiej oddaliło się zupełnie od kościoła łacińskiego i zbliżyło się ponownie do prawosławia. Rząd nie skąpił finansów na dołączanie nowych parafij greko-kotolickich pomimo, że na Ziemi Czerwieńskiej właśnie Polacy obrządku łacińskiego byli (i są dotychczas) pod tym względem skrzywdzeni.

Gdy w całej Galicji we wszystkich djecezjach łacińskiego obrządku w ciągu 40 lat od r. 1851-1892 przybyło zaledwie 107 parafij, to w djecezjach greko-katolickich przybyło w tym okresie 470 nowych parafij i nowe biskupstwo w Stanisławowie kosztem państwowym.

To nienawistne stanowisko sfer decydujących w kościele greko-katolickim do potrzeb Polaków tego obrządku utrzymało się dotychczas. Organ ich „Greko-Katolik" pisał w marcu i w maju b. r. i „Jesteśmy na własnej ziemi helotami. Takiego

odarcia z prymitywnych uprawnień narodowych, jak to się dzieje z greko-polakami w Małopolsce, niema przykładu nigdzie w Europie. Ukraińscy księża słyną z szowinizmu. Zmuszają swoich parafian Polaków greckiego obrządku do wyrzeczenia się polskości i przekonań narodowych". „Z seminarium greko-kotolickiego w Przemyślu wyrzuca się kleryków Polaków za ich przekonania narodowe. Dla pół miliona ludności polskiej greckiego obrządku nie ma żadnych praw językowych i narodowych. Od czasu wolnej Polski nie przybywa ani jeden kleryk polskiej narodowości".

Posiew więc austriacko-ruskiej *Hołownej Rady* bujnie się pleni dalej w wolnej Polsce.

Hołowna Rada ruska oprócz biurokracji austriackiej zdobyła sprzymierzeńców także w sferach wojskowych. Takim sprzymierzeńciem okazał się nie tylko Schlick, który zbombardował Kraków, ale także dyktator wojskowy we Lwowie, Hammerstein, który bez uzasadnionej przyczyny w listopadzie r. 1848 zbombardował Lwów, spalił ratusz i uniwersytet z bibljoteką, poparty z entuzjazmem przez lwowskie duchowieństwo ruskie. Na pamiątkę swej wierności dla Austrii otrzymali Rusini w podarunku ruiny biblioteki wraz z placem uniwersyteckim. Wznosi się dotąd na nich ruski „*Dom Narodny*", o który toczy się od dawna walka między Starorusinami a Ukraińcami.

STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

PRODUKTYWIZM NARODOWY

PRZYJĘLIŚMY założenie, że na pierwszy plan, w naszem położeniu gospodarczem, ze względu na nasze wielkie ubóstwo, wysuwa się sprawa powiększenia dobrobytu narodu i wzmocnienia jego źródeł. Warunkiem osiągnięcia tego celu jest system podatkowy i budżet publiczny, który swym ciężarem nie przygniata sił wytwórczych i pozwala im się rozwijać; dalej stałość pieniądza i polityka kredytowa, kierująca wolny kapitał ku celom produktywnym. Ale czy potrzeba obszerniej ten temat rozwijać, pisać specjalnie o produktywiźmie narodowym, czy zasada zwiększenia dobrobytu nie jest czemś oczywistem?

Przypomnijmy sobie, jak oceniano u nas tak zw. przesilenie gospodarcze i wywołaną niem dywersję. Najpospolitszą teorją kryzysową jest teoria „nadprodukcji"; istnieje w pewnej chwili nadmiar towarów, któremu, przy danym poziomie cen nie odpowiada siła nabywcza ludności, stąd też załamuje się równowaga w gospodarstwie. Wielu ludziom w ocenie naszej rzeczywistości wystarczały te i tym podobne ogólne formuły; kryzys w Polsce miał być tylko fragmentem ogólnego kryzysu. Jeżeli gdzieindziej się skończy i do nas przyjdzie poprawa. I wyczekiwano biernie, aż przełamie się koniunktura, aż wiatry z Zachodu rozpędzą chmury i przyniosą pogodę gospodarczą.

Niewątpliwie Polska jest zależna od wahań koniunktury światowej. Mimo bardzo słabego naszego udziału w handlu światowym, kolejne okresy pomyślności i depresji oddziaływują na nas dość silnie, choćby przez przypływy i odpływy kapitału zagranicznego. Ale poza tem wszystkiem trzeba widzieć swoistość naszego położenia, odrębne nasze trudności. Trzeba je widzieć w czasie dywersji, by tem energiczniej je zwalczać, widzieć również i w okresie wysokiej koniunktury, by nie łudzić się przejściową poprawą.

Gdy w jakimś kraju nagromadziło się wiele kapitału, gdy urządzenia produkcyjne są na bardzo wysokim poziomie i rzucają na rynek masy towarów, których ten rynek nie może w danej chwili wchłonąć, wówczas możemy mówić o nadprodukcji w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Wtedy trzeba czekać, aż olbrzymie zapasy towarów stopniowo zostaną wchłonięte, albo nawet je niszczyć; wtedy można wypłacać premie za zmniejszenie wytwórczości rolnej, zakazywać zakładania nowych warsztatów produkcyjnych. Ale w Polsce nie jest tak jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., w których, gdyby wszystkie fabryki obuwia wyzyskiwały w pełni swą zdolność produkcyjną, musiałby każdy ich mieszkaniec co parę miesięcy kupować nowe buty. W Polsce zbyt wielu ludzi chodzi... bez butów.

Bezwzględna nadprodukcja zjawia się wówczas, gdy jakaś gałąź wytwórczości wytwarza ponad granice zapotrzebowania na rynku, niezależnie od ceny towaru; np. w zamożnym kraju w którym nikt nie musi ograniczać swojego zapotrzebowania na chleb, konsumpcja mąki pszennej nie wyniesie więcej niż określoną ilość kg. na głowę. Takiej nadprodukcji niema w Polsce. Potrzeby nie są w pełni zaspakajane, nie ma towaru, którego by nie konsumowano więcej, gdyby było czem za ten tować płacić.

W państwie, w którem miliony ludności nie dojadają, w którem rolnik sprzedaje na rynku to, co sam powinien skonsumować, w którym względny rozwój mleczarstwa wywołuje niedożywianie się ludności, nie możemy widzieć lekarstwa na „kryzys" w zmniejszeniu czy ograniczeniu wytwórczości, ani usunąć trudności społecznych przez bardziej równomierny czy sprawiedliwy podział skąpych zasobów. O b e c n e p o k o l e n i e m u s i z d o b y ć s i ę n a w i e l k i w y s i ł e k, b y p o m n o ż y ć d o b r o b y t p r z e z p o d n i e s i e n i e z d o l n o ś c i w y t w ó r c z e j n a r o d u i j e g o n a r z ę d z i w y t w ó r c z o ś c i, c z y l i p o p r o s t u k a p i t a ł u: Na określenie tego celu używamy terminu: p r o d u k t y w i z m n a r o d o w y.

Ale jak tego dokonać? Powie rolnik: jeżeli my rolnicy zamierzamy podnosić wydajność ziemi, lepiej ją uprawiać i rzucimy na rynek o 20 prc. więcej zboża i mięsa, to znowu ceny spadną do poziomu, który pociągnie za sobą rzeczywiste straty. Powie przemysłowiec: mogę łatwo podwoić produkcję swych wyrobów, ale kto je odemnie kupi? Jeżeli producent, nazwijmy go Gawłem, zacznie więcej wytwarzać, a nabywca który kupuje jego towar (niech mu będzie Paweł), nie wzmoże swojej produkcji to wtedy Gaweł nie dostanie więcej od Pawła i o ile wytworzył więcej, to na tem straci; gdy jednak Paweł i Gaweł równomiernie wzmogą swoją wytwórczość, to wtedy dojdzie do zwiększonej wymiany i do lepszego zaspokoje-

nia potrzeb obydwu jej uczestników. A więc wzmożenie wytwórczości zasadza się na równoległem powiększeniu jej u różnych uczestników wymiany.

Wynika z tego, że nie można gospodarstwa narodowego oprzeć na jednostronnej przewadze uprzywilejowanej grupy produkcyjnej. Może ktoś być bezwzględnym panem gospodarstwa, może dyktować ceny, jakie chce, ale to nie wystarczy, by ci, dla których on wytwarza swoje towary, którzy są konsumentami jego produkcji, mieli za co nabywać te towary, by on sam był konsumentem ich produktów. Bez tego nie dojdzie do równowagi wymiennej. Nie można redukować do *minimum* siły nabywczej najszerszych warstw ludności i czekać spokojnie aż przyjdzie poprawa gospodarcza. Przecież wytwórczość polska zależy głównie od rynku wewnętrznego, całe obroty naszego handlu zagranicznego przedstawiały w r. 1934 na głowę ludności 53 zł., a więc bardzo mało, nawet uwzględniając niski poziom naszego życia. Między różnymi działami produkcji istnieje współzależność, a nie ma zasadniczej sprzeczności interesów.

Z tych powodów nie przeciwstawiajmy sobie różnych gałęzi wytwórczości: przemysłu rolnictwu i przemysłu handlowi i t. d. Nie prowadzi do celu polityka gospodarcza, która dopuszcza do ruiny jednego z uczestników wymiany w gospodarstwie narodowem, a potem, gdy ta ruina sięgnie już bardzo głęboko, „ratuje się” podupadłych kosztem tych, którym lepiej się dzieje. Nie można raz poprawiać położenia przemysłu kosztem rolnictwa, a potem rolnictwa kosztem przemysłu, bo będziemy sprowadzali gospodarstwo na coraz niższy poziom. Polityka państwa musi ogarnąć całość gospodarstwa narodowego i wydobyć na pierwszy plan to wszystko, co służy wspólnemu jego interesowi.

Aż do ostatnich czasów rolnictwo w Polsce pozostawało w stanie szczególnie ciężkiej depresji. Wskazywało się na to, że nie będzie poprawy bez dźwignięcia działu wytwórczości, który utrzymuje ponad $^2/_3$ ludności całego państwa. Coprawda udział rolnictwa w wymianie wewnętrznej nie odpowiada temu stosunkowi ludności, gdyż olbrzymia większość gospodarstw rolnych w małym stopniu produkuje na zbyt i jest nabywcą na rynku; ale w każdym razie, gdy wzmoże się udział rolnictwa w wymianie, oddziała to szczególnie podniecająco na cały obrót i wytwórczość. Rolnictwo jest niejako zbiornikiem masy niezaspokojonych potrzeb, pojemność jego rynku jest w zasadzie ogromna; a z drugiej strony nikt nie powie, że ludność miejska przejada się płodami rolnemi i już więcej ich nie może nabywać.

Wytwórczość wzmoże się wówczas, gdy gospodarny przedsiębiorca, który ma ją powiększyć lub też podjąć się nowej wytwórczości będzie wiedział, że na tem zarobi, a w każdym razie nie poniesie straty. Działalność gospodarcza powinna się opłacać—to aksjomat, który obowiązuje nietylko w prywatnej, lecz i publicznej przedsiębiorczości.

W ustroju prywatnej własności ceny kształtują się zasadniczo na wolnym rynku. Ale w dzisiejszych warunkach państwo nie może się wyrzec prowadzenia polityki cen. Gdyby ceny wyrównywały się automatycznie według formuł klasycznej ekonomii, możnaby ruch cen zostawić w spokoju. Ale doświadczenie ostatnich kilku lat wykazało, że produkcji rolnej nie można tak skurczyć, by w krótkim czasie doprowadziło to do opłacalnych cen płodów rolnych. Nie ma tu automatyzmu. Rolnictwo produkuje w znacznej części niezależnie od poziomu cen. Procesy wyrównawcze odbywają się zbyt wolno, by można było neutralnie wyczekiwać ich końca.

Państwo ma obowiązek przeciwdziałać spadkowi cen w podstawowych działach wytwórczości, który rujnuje gospodarstwa i czyni je bezwzględnie nieopłacalnymi. W jaki sposób — to zależy od wielu okoliczności, od stanu rynku światowego, od stanu finansowego i organizacji handlu; metody działania zmieniają się z roku na rok, a bodaj że nawet i w krótszych odstępach.

Z drugiej strony nie można odmówić państwu prawa hamowania nadmiernego wzrostu cen. Ale poza przypadkiem lichwy, której stwierdzenie należy do sądu, bezpośrednie narzucanie cen maksymalnych nasuwa sporo wątpliwości. Nietylko dlatego, że polityka cen maksymalnych wiele razy już zawiodła u nas i w świecie, lecz przedewszystkiem ta polityka nie zawsze liczy się z opłacalnością produkcji. Zdarza się nieraz, w okresie depresji, że przedsiębiorstwo sprzedaje ze stratą swe wytwory; sprzedaje tak dlatego, by nie stracić rynku, by uniknąć strat jeszcze większych. Ale na to może sobie pozwalać przedsiębiorstwo, które ma rezerwy. Gdy zje rezerwy, zniszczy subwencję majątkową. Polityka, która czy to ze względów społecznych, czy też w interesie konsumenta nakłada na pewne gałęzie wytwórczości obowiązek wytwarzania ze stratą, ta polityka jest niesprawiedliwa, gdyż równa się nałożeniu dowolnego, podatku majątkowego na niektórych wytwórców. A zaś pod względem ekonomicznym prowadzi do zniszczenia sił wytwórczych.

Te względy nie zwalniają państwa od obowiązku czuwania nad tem, by ceny towarów i rozmiary wytwórczości kształtowały się w sposób prawidłowy, Własność prywatna ma to społeczne uzasadnienie, że jednostka, dążąc do zarobku, stara się obniżyć koszty swej wytwórczości, że dąży do ulepszeń produkcyjnych, by utrzymać się na rynku; współzawodnictwo usuwa sztuczne kombinacje, niezdolne do życia, wytwarzającej drożej i gorzej. O ile jednak ustaje ta naturalna gra sił ekonomicznych, a tworzą się prywatne monopole, panujące nad rynkiem, skostniałe, ciągnące wygodną rentę ze swego uprzywilejowanego stanowiska, to wtedy wyrodnieje zasada własności prywatnej i jej społeczna funkcja staje się wątpliwa.

Nie można z góry wykluczać potrzeby porozumień wytwórców. Narzuca je np. konkurencja zagraniczna, konieczności eksportowe. Porozumienie może ograniczyć niszczącą walkę konkurencyjną, zabezpieczyć stałość zatrudnienia, ograniczyć koszty reklamy i t. d. Ale to porozumienie (kartel, syndykat i t. d.) nie może mieć na celu jednostronnego nakładania wysokiej ceny; nie może stawać się monopolem fiskalnym, wprowadzać w praktyce opodatkowanie innych na rzecz ciasnej, prywatnej grupy, panującej na rynku, nie może doprowadzać do zupełnej eliminacji współza-

wodnictwa. Jeżeli kartel liczy się z tem, że może ktoś podjąć z nim walkę przez niższe ceny to wtedy nie będzie wyzyskiwał swego monopolicznego stanowiska. Obowiązkiem państwa jest nie dopuszczać do faktycznego, czy prawnego przymusu kartelowego; państwo może w pewnych przypadkach poskromić bardzo łatwo wybujałości cen, np. przez dopuszczenie zagranicznego współzawodnictwa. Ale polityka państwa w stosunku do zrzeszeń przedsiębiorców powinna być oparta na trwałych zasadach prawnych, a nie wprowadzać niepewności i dowolności administracyjnej.

Na zrzeszenia przedsiębiorców należy patrzeć z tego punktu widzenia, czy one zwiększają wytwórczość, czy ten wzrost hamują. Niewątpliwie monopol prowadzi nieraz do zbiurokratyzowania przemysłu, do wygodnej eksploatacji rynku i podobnych ujemnych objawów. Ale bardzo często te wykoszlawienia aparatu produkcyjnego nie są wynikiem wolnej gry ekonomicznej, lecz ubocznym produktem etatyzmu. Źródłem ich są różne przywileje przyznawane naszym grupom, np. przywileje importowe, albo sztuczne ograniczenia produkcji przez państwo (nadużycia systemu koncesyjnego). Zbytnia ingerencja państwa prowadzi równocześnie do skrępowania całego gospodarstwa narodowego, a zarazem do powstawania uprzywilejowanych grup monopolicznych.

Warunkiem rozwoju wytwórczości jest polityka cen, która nie dopuszcza ani do cen nieopłacalnych, ani też do cen uprzywilejowanych. Wówczas może gromadzić się kapitał produkcyjny. Ale tego kapitału mamy mało i będziemy mieli mało. Dlatego koniecznem jest jaknajbardziej ekonomiczne jego zużycie. Nie możemy sobie w tej dziedzinie pozwalać na rozrzutność — jak zresztą i we wszystkich innych dziedzinach gospodarstwa.

Nie dostaje nam kapitału, natomiast rozporządzamy nadmiarem siły roboczej. Dlatego też kapitał musi być drogi, a siła robocza stosunkowo tania. Otóż zasada gospodarności wymaga, by dawać przewagę tym przesiębiorstwom, które potrzebują stosunkowo najmniej stałego kapitału w stosunku do zatrudnionej przez siebie siły roboczej. Pod tym względem istnieją bardzo wielkie różnice między przedsiębiorstwami. Niektóre, wysoce zracjonalizowane, zatrudniają na miliony kapitału zakładowego małą garstkę ludzi.

Dążenie do zastępowania człowieka przez maszynę wykwitło na tle braku robotnika i drożyzny jego pracy (Stany Zjedn. Am. Półn.) Ale kosztowna maszyna, rugująca pracę ludzką, nie zawsze się opłaca w kraju gdzie jest tania robocizna. Nadmierna racjonalizacja i mechanizacja wytwórczości spotkała się z dużą krytyką, w związku z przesileniem gospodarczem. O ile ta mechanizacja nie pociąga za sobą tak znacznej zniżki ceny towaru, że popyt na ten towar bardzo silnie wzrasta, kończy się na zwiększeniu zysku przedsiębiorcy i zmniejszeniu stanu zatrudnienia. Pożytek niewielki: mniej pracy w fabryce a więcej kandydatów do pomocy dla bezrobotnych.

Oczywiście nie można organizować produkcji w oderwaniu od zasady najmniejszych kosztów produkcji. Zmechanizowana produkcja może być potrzebna ze względu na sprawność wytwórczą na wypadek wojny. Ale trzeba brać pod uwagę także i pośrednie ciężary, które nakłada bezrobocie na gospodarstwo narodowe. Jeżeli kraje obfitujące w kapitał ograniczają wydatnie zakładanie domów towarowych, magazynów o jednej cenie, jeżeli zakazuje się zakładania mechanicznych fabryk obuwia, to czyż w Polsce, gdzie tylu ludzi jest bez pracy, nie można wydać analogicznych zarządzeń.

W kraju ubogim w kapitał a bogatym w pracę, istnieją naturalne źródła żywotności gospodarstw średnich i drobnych, gdyż te w porównaniu z ilością potrzebnego kapitału, wchłaniają stosunkowo wiele siły roboczej. Obowiązkiem państwa jest nie hamować powstawania gospodarstw tego typu, co się dzieje przez mechaniczne stosowanie do nich ustawodawstwa społecznego, wyrosłego na tle fabrycznego przemysłu; nie można też opierać rozdziału ciężarów publicznych na ilości zatrudnionych pracowników, dalej utrudniać przez te ciężary przyjmowania nowych uczniów i terminatorów. Wreszcie, co już dotyczy całej wytwórczości przemysłowej, w polityce eksportowej należy faworyzować te towary, w których w stosunku do ich ceny, zawarta jest stosunkowo największa ilość krajowej pracy. Można niejedno zrobić w kierunku lepszego zagospodarowania naszego kapitału i w ten sposób wzmóc wytwórczość, nie tworząc jakichś sztucznych form życia ekonomicznego.

Produktywizm narodowy wyraża się dalej w dążeniu, by podnieść wydajność pracy, by praca ludzka dawała jak najlepsze ilościowe i jakościowe wyniki. Obok kapitału w ścisłem wyrazu znaczeniu istnieje i kapitał „żywy" — tkwiący w ludziach, czyli ich zdolności i umiejętności gospodarcze. Kapitału martwego nie można pomnożyć w cudowny sposób; ale bodaj że szybciej gospodarstwo narodowe może się uzbroić w żywy kapitał.

By podnieść jego wartość, potrzebne są zmiany idące w dwóch kierunkach; zmiana systemu wychowania i zmiana psychiki społecznej. W Polsce jest bardzo wiele bezrobotnych, wiele inteligencji poszukuje pracy i znaleść jej nie może. Ale gdy potrzeba pracownika z określonymi ściśle kwalifikacjami, nieraz trudno go dostać. Poziom kultury rolnej jest dość niski. Rzemieślnik znający dobrze swój zawód, nie ma często zdolności handlowych, nie umie sprzedać swego produktu, pada ofiarą lichwiarzy. Nasze szkoły wyższe wyrzucają rok rocznie tysiące kandydatów na urzędników, na głodujących lekarzy i adwokatów, którzy szukają posad. Produkuje się masowo biurokrację; ale mało wytwarza się pionierów życia gospodarczego i za mało ciasnych specjalistów, znających dobrze swoją szkołę.

W psychice naszej było za dużo lekceważenia zawodu rzemieślniczego i handlowego, za mało poszanowania pracy fizycznej. Fałszywa hierarchia zawodów wyższych i niższych utrzymała się mimo wielu przemian społecznych i demokratyzacji życia. Wciąż jeszcze błyskotliwy dyletant, który zna się na wszystkiem a właściwie nie zna się na niczem, jest typem, który zdobywa sobie życiową pozycję. Echa przeszłości, która zostawiła przemysł i handel żydom, jako zajęcie niegodne wielkiego narodu, odzywają się bardzo mocno. W takiej atmosferze marnuje się wiele sił, wiele talentów.

Wskazaliśmy poprzednio na przeciwieństwo pracy produktywnej i nieproduktywnej, na konieczność przywrócenia równowagi między temi dwoma rodzajami pracy. Idąc dalej, możemy w pracy produktywnej odróżnić różne stopnie produktywności. Zdarza się nieraz, że zajęcia, które zalicza się do produktywnych, przesiąknięte są pierwiastkiem biurokratyzmu; i w życiu gospodarczem marnuje się wiele sił i grosza. Organizacja naszego gospodarstwa cierpi na przerost form bez treści. Różne związki zawodowe, konieczność ciągłego kołatania u władz, nadmiar ankiet, posad, wysługiwanie się przez administrację przymusowemi usługami prywatnych przedsiębiorstw, to wszystko podraża koszty i hamuje wytwórczość. Przemysłowiec niech siedzi w fabryce, a kupiec w sklepie. Etatyzacja naszego gospodarstwa ma jeszcze i ten ujemny skutek, że nieraz z powodów politycznych czy poprostu osobistych, przedsiębiorstwa stawiają na czele ludzi miłych władzy, mających do niej dostęp, co dzieje się z krzywdą fachowej i prawdziwie wydajnej pracy. Od synekur należy oczyścić zarówno administrację i gospodarkę publiczną, jak i prywatną gospodarkę.

Te spostrzeżenia dowodzą, że idea produktywizmu narodowego ma w naszych warunkach treść dość wyraźną i konkretną. Wielu wysiłków trzeba dokonać, by przyśpieszyć narastanie kapitału, by móc oprzeć gospodarstwo narodowe na możliwych podstawach. Jako konkretny cel wysuwa się hasło zwiększenia wytwórczości, do czego wiedzie: a) jej opłacalność; b) ekonomiczne zużycie kapitału produkcyjnego; c) podniesienie wydajności pracy pod względem jej ilości i jakości. Niema tu żadnej sprzeczności między różnymi działami gospodarstwa, niema wytwórców wyższych i niższych stopni. Ale gdy się urzeczywistnia wewnętrzną harmonię gospodarstwa narodowego, trzeba określić bliżej, na czym ona się zasadza, jakie typy gospodarstw, zwłaszcza z uwagi na ich wielkość, są naprawdę żywotne. Oto zagadnienie którym warto się zająć.

ROMAN RYBARSKI

FILMY WERSALSKIE

Nicolson Harold. „*Quand on faisait le paix*“ *adapté de l'anglais par Lillian Brach. Préface de André Maurois, Paris, Plon,* 1935, str. XXXIV i 236).

MŁODY dyplomata angielski, romansopisarz jak Disraeli, filosemita jak Balfour dał nam w swojem „*Peacemaking*" — po Dillonie— ciekawy reportaż z konferencji paryskiej. Amator Byrona, Tennysona, Verlaine'a wskrzesza tu ludzi, ale maluje też tło ich działalności: paryskie *intérieury anno* 1919: hotele, jak „Meurice", gdzie „w westybulu... leżą na dywanie korytarzowym gwardziści montenegryńscy króla Nikity" lub Pałac Muratów, siedzibę Wilsona, pełną — jakby na ironję—wspomnień napoleońskich itd.

Wilson Nicolsona to niestary, wygolony *gentleman*: „zębów nie pokazuje, chyba w uśmiechu, co strasznym jest widokiem". Gotów jest pół godziny spierać się z Balfourem, czy „Napoleon i Fryderyk Wielki mogliby być nazwani patriotami bezinteresownymi". Świetne są te opisy konferencji: taki 13-ty maja 1919 r. Scena w apartamencie Lloyd George'a na *rue* Nitot. Sala jadalna: „rozkładam — pisze sir Harold — wielką mapę na stole, wokół którego grupują się wszyscy: Lloyd George, Balfour, Milner, Henryk Wilson i inni. Lloyd George nam mówi, że Orlando i Sonnino zgłoszą się za chwilę i zapytuje się, czem może im służyć. Proponuje strefę Adalii, a dla Francji resztę Azji Mniejszej... Dyskusja jeszcze nie zakończona, kiedy wkraczają do sali mdły Orlando i waleczny Sonnino. Siadamy wszyscy dokoła stołu. Dzięki temu wzrasta podobieństwo do ciasta, mającego być rozdzielonem... (Włosi) godzą się nakoniec objąć mandat nad Adalią, ale my nie wiemy dokładnie, czy się też wzamian zgodzą zrezygnować z Fiume i Rodosu. Sięgamy do paktu Ligi Narodów na punkcie mandatów. Milner to bodaj zwraca uwagę, że jest tam mowa o „zgodzie zainteresowanych ludów". Frazes ten mocno rozbawia zgromadzenie. Orlando aż zanosi się ze śmiechu, aż płacze do rozpuku..."

Posiedzenie popołudniowe u Wilsona: Clemenceau i Lloyd George siedzą obok siebie na kanapie. Wilson sięga po mapę, rozkłada ją na dywanie w alkowie i klęka. I my kucamy naokoło niego na posadzce. Czysta gra towarzyska! Tłumaczy nam, co zostało postanowione wprzódy w sprawie granicy jugosłowiańskiej... Orlando i Vannutelli (delegaci włoscy), nie powstając z klęczek, chcą wyrwać jeszcze dla Włoch tunel pod Rosenbach. Twierdzą, że nie będzie wygodnie, gdy jeden z jego końców znajdzie się w jednym kraju, a drugi w drugim. Wilson, ciągle na klęczkach, zarzuca w tył wielką swoją głowę, wznosi oczy ku niebu i malaturom sufitu pani Bischofsheim i wykrzykuje: „nie przyjechałem do Paryża, by spierać się o czyjeś wygody. Dbam tylko o życzenia ludów!"

Oto „wielcy": Clemenceau. „goryl z kości słoniowej" w niebieskich rękawiczkach, „kat" na „drobne potencje"; Balfour, wytworny jak sam „*ancien regime*" *anno 1914*. Ale są i „mali", naszkicowani wprawną ręką autora „*Public Faces*". Jest Take, jakimeśmy go znali—„ogorzały, ruchliwy, europejski"; jest Bratiano, zapatrzony w swoją wschodnią urodę, „goniący—jak mawiają Francuzi—za swoim własnym „*esprit*'em"; jest Benesz— „mały pan — charakteryzuje go Anglik — rozumny, młody, rozsądny", który jednak — zaraz w ciągu pierwszego śniadania, spożytego z Nicolsonem — niema nic śpieszniejszego do zainsynuowania wpływowemu dyplomacie, jak konieczność zabezpieczenia wspólnej granicy Czech z Rumunią i to „na Rusi, skoro Rusini galicyjscy są przedewszystkiem żydami". Jest dalej—Venizelos, urodzony dyplomata, Odyseusz z Krety, umiejący palić i Olimpowi świeczkę i Hadesowi ogarek; są dalej w kulisach: dobrzy nasi znajomi ze Szwajcarii: Day, Dulles, Massigli Osuski i — nieodzowni: Weitzmany z Pińska, Readingi z Krakowa i Wolfy.

O sprawach polskich chce wiedzieć Nicolson jak najmniej i mówi też mało. Poza kilkoma przy-

godnemi znajomościami, nie szuka wcale kontaktu ze światem „Klébera” czy „Lauristona”; znaną dlań osobistością jest z Polaków jedynie Paderewski ale i do niego nie ze stałą odnosi się sympatią: „Idę do Opery — notuje np. w dzienniku swoim 16-go kwietnia... Wejście Paderewskiego do loży prezydenckiej działa jak „*coup de théâtre*”. Rozlega się hymn narodowy polski, cała sala, powstawszy z miejsc powiewa w stronę mistrza chustkami i woła: „Brawo! Brawo!” Ja ledwo wstaję. Paderewski uśmiecha się i kłania. Ale to nie jest gest prezydenta, tylko ukłon z estrady koncertowej. Jego loża lśni się od adjutantów”.

Ale niebawem zmienia Nicolson zdanie. Widać to z rozmowy jego z dumnym Pilawitą — hr. Józefem Potockim. „Jem obiad — notuje Anglik 10 maja—z Józefem Potockim u Ritza. Też piękny anachronizm! Mówię mu bowiem, jak mocnego doznałem wrażenia, słuchając mowy Paderewskiego przed Radą Najwyższą. Na to pada odpowiedź: „Tak! człowiek to znakomity, bardzo znakomity. Niech pan sobie w dodatku wyobrazi, że ujrzał światło dzienne w jednej z moich wiosek. Dokładnie w Szepetówce... A przecie, rozmawiając z nim, mam całkiem wrażenie, że gadam z równym”.

*

Książka p. Nicolsona jest zewszechmiar bardzo charakterystyczna. Jako utwór dyplomaty angielskego, co z urodzenia i pozycji reprezentuje doskonale tradycje polityki Albionu — tłumaczy nam wiele i rozjaśnia. Jest ona szczerą spowiedzią tego imperializmu angielskiego, co przechadza się bez osłonek, gdy o jego własne interesa się rozchodzi, a pełen bywa skrupułów i nieraz obłudy, gdy chodzi o „negusów” i innych klientów Anglii... „Czy pan skłonny by był— czytamy w książce Nicolsona—zastosować prawo samostanowienia ludów do Indyj, Egiptu, Malty, Gibraltaru?.. O ileby pan miał zamiar pójść tak daleko w tym kierunku, to lepiejby było dla pana zaraz powrócić do Londynu”.

To jedno, a po drugie — z zakończenia zwłaszcza książki Nicolsonowej (opis Wersalu), ale i z całego zresztą jej kontekstu uwydatnia się już ten „*disease*” powojenny dyplomacji angielskiej, ta sprzeczność wewnętrzna między jej metodami a hasłami, która w końcu doprowadziła do łez ministra Hoare i kapitulacji ministra Edena. Z tego względu wesoły pamflet p. Nicolsona, tak bardzo dla nas pouczający, z punktu widzenia ściśle angielskiego wydać się może zupełnie tragiczny.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

RACINE

„BERENICE“

FRAGMENT I AKTU

Antiochus, Arzacjusz.

Antiochus.
Skoro tylko zobaczę możną monarchinię,
Trzeba będzie odjeżdżać. Niech statek odpłynie.

Arzacjusz.
Któż to będzie odjeżdżał, najjaśniejszy panie?

Ant.
Ja.

Arz.
Jakto? Być nie może! Któż w Rzymie zostanie?

Ant.
Opuszczając ten pałac, Rzym tracę na wieki.

Arz.
Jestem, panie, zdumiony. Przecieram powieki.
I zdumienia mojego są ważkie powody.
Tyle lat Berenice dla was nie bez szkody
Z objęć wiernego ludu króla wydzierała,
Iżeście tu bawili trzy lata bezmała;
A teraz kiedy na nią spływa wielka chwała,
Której też uczestnikiem wasby widzieć chciała,
Kiedy ją cesarz Tytus blaskami otoczy,
Miałyżby się nie cieszyć tem i wasze oczy?

Ant.
Szczęście niech, Arzacjuszu, raduje królowę.
Ze mną, radzę ci, przerwij dyskursa jałowe!

Arz.
Rozumiem was już, panie. Tam gdzie moc i sława
Niestety tam nie pomną na przyjaźni prawa...
Nic więcej nienawiścią nie rozpala łona
Niźli czarna niewdzięczność i przyjaźń zdradzona!

Ant.
Mylisz się, nie mam w sobie ani źdźbła niechęci...

Arz.
A więc może sądzicie, że Tytus w pamięci
Mocnych więzów przyjaźni z wami nie zachowa,
Skoro pierś mu opasze toga purpurowa?
Może obojętności nadchodzącej fala
Każe z Rzymu uchodzić i jechać zniewala?

Ant.
Nie, skarżyć się nie mogę, zostać bez odmiany...

Arz.
Więc, jakiż, panie, przeto wybryk niesłychany
W nienawiści mieć siebie samego wam każe?
Wyjechać, gdy wam niebo pomoc zsyła w darze,
I do darów fortuny temwięcej ośmiela,
Na tron cesarski wwodząc księcia przyjaciela,
Księcia, który was kocha, kocha najgoręcej.
O czyliż można, panie, jeszcze kochać więcej?
On, który widział dobrze i zważył na szali
Tę krew, którąście, panie, wraz z nim przelewali,
Kiedy jego i wasza niezwalczona siła
Buntowniczą Judeję w niwecz obróciła.
Na dnie jego pamięci i na dnie sumienia
Leży ten dzień straszliwy w czasie oblężenia,
Co w pohańbienie poddał niezłomnego wroga.
Na murach i na szańcach gęstwa była sroga,
Która poprostu drwiła z widocznej bezsiły,
Skoro wszystkie ataki jak jeden chybiły...
I trwałoby tak długo... Wtem się wszystko zmienia:
Idziecie wy przed mury jak wicher zniszczenia!
Nic was wstrzymać nie zdoła w najstraszliwszem dziele:
Gdzie stąpicie, tam ogień i tam śmierć się ściele!
A zaś potem jak niwa przez żeńców skoszona
Opadacie krwawiący na moje ramiona,
Dzień zwycięstwa okrywszy powszechną żałobą...
Wszyscyśmy już, o panie, płakali nad tobą,
Ale rozpacz Tytusa to nie miała granic,
A teraz krew przelaną miałby mieć on za nic?

Przełożył WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

NA WIDOWNI

Akord 1886-1936. — Wspomnienie o roku 1886. — Motywy ideowe młodzieży.—Zamach i Związek („Zet”). — Linie równoległe.

OPOWIEDZIANE przez Seniora w poprzednich zeszytach „Myśli Narodowej” dzieje nowoczesnego ruchu narodowego zamykają akord lat 50 dobą dzisiejszą. Nad takim okresem warto się zastanowić, bo to ważny okres w życiu Polski. Potrzebna była ta opowieść wszystkim, bo bez perspektywy historycznej trudno wypatrzeć jakąkolwiek perspektywę przyszłości.

Była mowa o r. 1886, jako dacie przełomu, od którego ruch się zaczął. Niech mi wolno będzie w tej pogawędce podzielić się wspomnieniem, jakie ten rok w pamięci mojej zostawił.

— — — — — — — — — — — —

W owym roku zaszły w mem życiu okoliczności, dla których przeniosłem się z uniwersytetu warszawskiego do Petersburga — na trzeci rok studjów prawniczych. W porównaniu z Warszawą, gdzie stosunki z ludźmi były gęste i praca dość utrudniona, tutaj pewne osamotnienie, przy tęsknocie do kraju, sprzyjało pogłębieniu życia wewnętrznego i przez porównanie typów życia czegoś mnie nauczyło.

W tajnem kółku warszawskiem lat poprzednich uczyliśmy się historii Polski i literatury polskiej, nie znanej nam ze szkoły. Miałem już za sobą wykłady (zachowałem je nawet w bruljonie) o Malczewskim i Mickiewiczu. Ze światopoglądu byłem oczywiście uczniem „Przeglądu Tygodniowego” i „Prawdy”, ale w duszy były już nasiona czegoś nowego, mianowicie hasła: do Polski przez lud, a w nauce o ludzie teorii o dwu cywilizacjach (szlacheckiej i ludowej), rzuconej, jakby z przekory, przez Jana Popławskiego w prospekcie do „Głosu”, który właśnie w tym roku 1886 zaczął wychodzić.

Popławski robił na mnie szczególne wrażenie jeszcze wtedy, gdy pisywał w „Prawdzie”. Pamiętam, z jaką zazdrością patrzyłem na kolegę Tadeusza Kozerskiego wiosną tego roku (było to przed księgarnią Arcta na Nowym Świecie), gdy z przechwałką opowiadał mi o swej zażyłości z Popławskim. W lecie (rodzice mieszkali na wsi w Siedleckiem) zajmowałem się już zbieraniem pieśni ludowych i pisałem nowele z życia ludu. Prezentowałem te nowele redaktorowi „Kraju”, gdym osiadł w Petersburgu, ale niemi wzgardził. Spotykałem w czytelni wiele pism warszawskich, ale „Głos“ wszystkie w moich oczach zaćmił.

Drgnienia od nowego prądu dochodziły do kół młodzieży petersburskiej, ale tu społecznikostwo miało charakter przeważnie socjalistyczny. W kółku, do którego mnie wciągnięto, było dwu siedlczan, Bolesław Motz, późniejszy lekarz w Paryżu (i senator w Polsce), oraz B. Dembiński. Tutaj literatura nie była w cenie, droga uświadomień wiodła przez naukę ekonomji politycznej. Studjowaliśmy tedy z jakiegoś rękopiśmiennego wykładu teorję ekonomji Milla w streszczeniu z komentarzami modnego wówczas radykała społecznego Czernyszewskiego. Zachowałem nawet swój referat, wygłoszony na kółku na temat „Współdziałania sił roboczych”. Z przekonaniem podzielałem pogląd Czernyszewskiego, bo ten nie podzielał entuzjazmu Smitha i Milla w sprawie dobrodziejstw, jakie zapewnia specjalizacja przy podziele pracy fabrycznej, lecz zachowując stanowisko społecznika, stanął w obronie człowieka. Nie wolno — mówił — niszczyć człowieczeństwa; tylko różnorodność pracy może zapewnić pełnię rozwoju człowiekowi. Było to mądre, ale tak nieobyty byłem jeszcze z terminologją polską, że napisawszy: „rynek“ (zbytu), przekreśliłem to słowo i napisałem „targ“ i znowu przekreśliłem. Jednem słowem uczył się człowiek...

— — — — — — — — — — — — —

Uczyłem się też i życia. Z ciekawością zaglądałem w życie Rosjan, do czego dawała sposobność korepetycja. Dostałem lekcję (za obiad i 15 rubli), do czterech chłopców w domu urzędnika Tagiejewa[1]). Szczęściem trwała ona tylko parę miesięcy, bo potem dostałem stypedjum z fundacji polskiej, zarządzanej przez Spasowicza.

Mieszkałem jakiś czas na Bazylówce (*Wasilewskij Ostrow)* (3 linja). Chodząc po przepysznym, granitowym brzegu Newy, wspominałem Mickiewicza, który tędy błądził, i Oleszkiewicza postać niesamowitą. Czyż mogłem jednak przebić wzrokiem zasłonę przyszłości, że tu znajdę się za lat 30, jako kierownik pisma, które nosić będzie zuchwały tytuł: „Sprawa Polska”, i że będę świadkiem, jak ten koń pod Piotrem Wielkim zachwieje się i runie w przepaść.

I wtedy już myślano, jakby mechanicznie, przy pomocy bomb, znieść przyczynę tyraństwa, tkwiącą w caracie. Zajmowała się tem młodzież socjalistyczna, nawet polska, nie myśląc jednak o tem, że naród, nie mający jeszcze wolności w duszy, zbywszy się caratu, wynajdzie inną formę tyraństwa.

— — — — — — — — — — — — —

W uniwersytecie słuchałem wykładów prof. Duvernois (prawo cywilne), Siergiejewskiego (karne), Martensa (międzynarodowe), Jansona (statystyka), Gorczakowa (prawo bizantyjskie) itd. Martens był figurą w min. spraw zagranicznych, dyplomatą, twórcą traktatów. Największą atrakcją były wykłady dodatkowe do katedry prawa karnego: prof. Fojnicki mówił o karze. Dawało to sposobność filozofowania na tematy społeczne i psychologiczne. Mówił szeptem (gruźlik) z fanatyczną namiętnością apostolskiego humanitaryzmu, Słuchając go, zrozumiałem duszę rosyjską Dostojewskiego, przerażoną na myśl o doli jednostki w społeczeństwie. Zastanawialiśmy się z nim głęboko nad tem, czy nie najliberalniejszym środkiem wymiaru kary byłaby chłosta, jako kara najpodzielniejsza, a nie nastająca na wolność jednostki (jak izolacja), nie mówiąc o karze śmierci, która jest poza prawem ludzkiem. Ale i od chłosty wstrzymaćby należało rękę ludzką, ulegającą namiętności i przez to nierówno bijącą. Ideałem byłaby maszyna gwarantująca równomierność.

Dusza rosyjska męczyła się liberalizmem. Widziałem to w literaturze, z którą wypadło mi się

---

[1]) Dzieci w tym domu były znaczone alfabetycznie. Najstarszy Sasza (Aleksander) był kadetem. Tego nie uczyłem. Drugi był Boria (Borys), trzeci Wołodia (Władimir) — w ros. alfabecie porządek A. B. W. G.), czwarty Grisza (Gregory), piąty Dima (Dymitry). — A co będzie — pytałem matki — jeśli alfabetu nie starczy? — Zaczniemy od początku. Krew wschodnia: od okrucieństwa — do tkliwości; życie bujne, bezładne. Mały Dima, gdy pisał zadanie: 12 — 3 — 4 — 2 — 1, widząc, że 12 zbankrutuje, westchnął: „biedne 12!” I łzy miał w oczach.

zetknąć. Widzę jednak z notat, że oprócz lektury wykładów, uprawiałem przeważnie polską. Czytałem co w rękę wpadło. A więc Dzieje Polski Bobrzyńskiego, Brandesa Główne prądy literatury europejskiej, Klina (pseud.) Szkice, Zasady etyki Spencera, Postęp i nędza George'a, powieści Kraszewskiego, Zacharjasiewicza, Zoli (Dzieło), Korzeniowskiego (Dama i dziewczyna), zakazaną, wydaną za kordonem książkę Towarzystwo Warszawskie, Świętachowskiego (Ojciec Makary), artykuły w mies. Ateneum, prace Wł. Smoleńskiego o szlachcie, jego też Kuźnicę Kołłątajowską. Czytałem też z zapałem Sienkiewicza (Poop), Prusa (Placówkę), Szymańskiego (Przewoźnik), Orzeszkowej (Nad Niemnem) i in.

Świetny to był okres literatury. Biła z tych dzieł Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Szymańskiego jakaś światłość, emanująca z Polski, a porywająca duszę nieokreślonemi jeszcze pragnieniami ofiarowania swych sił odradzającemu się życiu. Było coś w powietrzu, co nadawało szczególne znaczenie rzucanym w „Głosie" Popławskiego hasłom.

— — — — — — — — — — — —

Jakoś ku wiośnie 1887 spokojne dotąd życie uniwersytetu zakłócił fakt wykrycia spisku na życie Aleksandra III. W przygotowanym zamachu brali udział studenci uniwersytetu. Aresztowano Uljanowa (brat Lenina), J. Łukasiewicza, Paszkowskiego, braci Piłsudskich. Polacy byli z Wileńszczyzny.

Łukasiewicza znałem. Czynny był w kołach samopomocy młodzieży polskiej. Kończył studja, jako chemik. Jego dziełem była bomba. Policja ujęła już na ulicy studenta, który ją niósł pod płaszczem, czekając na przyjazd cara. Poznałem z czasem mechanizm tej bomby, która miała zmienć ustrój Rosji. W r. 1917, gdy już car był zdetronizowany i nastała wolność druku, pojawiły się w księgarniach wydawnictwa historyczne w postaci pokaźnych czasopism podobnych do wydawanej u nas „Niepodległości". W jednem z nich pt. ile pamiętam, „*Byłoje*" (czasy minione) na pierwszem miejscu znalazłem obszerny opis tej bomby. Opisał ją sam Łukasiewicz, wówczas profesor uniwersytetu. Maszynerja istotnie dowcipnie była pomyślana.

Uniwersytetowi groziły represje, bodaj zamknięcie, w każdym razie liberalny rektor prof. Andrejewskij miał ustąpić. W czytelni zaczęły się „schodki", pedle, inspektorzy szpiegowali, chwytali ulotki, studentów legitymowali przy każdym podejrzanym ruchu. I mnie to spotkało, gdym dawał znak jednemu z kolegów, aby się strzegł idącego szpicla.

Wszystkich wtedy wynotowanych zostawiono w spokoju do wakacyj, aby nie wywoływać rozruchów. W lecie odesłano wszystkim dokumenty osobiste z nakazem wzięcia relegowanych pod dozór żandarmerii. Nawiasem dodam, choć to należy do dziejów późniejszych, że policja do mnie zgłosiła się, gdym już z powrotem, nie wiedząc o niczem, wyjechał do Petersburga. Tam się udało sprawę odrobić.

— — — — — — — — — — — —

Niemal jednocześnie z owym niedoszłym zamachem, zdaje się, że zaraz po nim, przybył do Petersburga wysłannik „Zetu" (Związku Młodzieży Polskiej), o którym zamieściliśmy w dwu ostatnich zeszytach „Myśli Narodowej" tak interesujący artykuł historyczny. Wysłannikiem tym był młody lekarz Jan Harusewicz, znany potem działacz i poseł do Dumy.

Harusewicz odwiedził pokolei upatrzonych kandydatów i wziąwszy od nich ślubowanie, odczytał statut założonego w końcu stycznia w Warszawie Związku. Było to zapewne w początku marca, bo — pamiętam — nie było już śniegu. Pokazywałem Harusewiczowi Petersburg, wiodąc z nim długie rozmowy.

Dzisiaj, gdy to piszę, przychodzi na myśl Mickiewicza wiersz o Oleszkiewiczu:

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy. Lubią iść o zmroku,
Bo czynowników unikną widoku
I w pustem miejscu nie zejdą się z szpiegiem.

Były to jednak „rozmowy rodaków", nie mających już żadnego kontaktu ze społeczeństwem rosyjskiem i dalekich od praktyki duchowej saint-martynisty Oleszkiewicza, rozmowy rodaków obejmujących Polskę już nie mistycznie widzianą, lecz realną, braną od wewnątrz tak, jak ją widział Mickiewicz potem, w Paryżu.

Oleszkiewicz patronował od tego czasu obozowi przeciwnemu, wpatrzonemu „w dworca cesarskiego mury".

Był to moment pamiętny w mojem życiu, od niego do mety dzisiaj zajętej idzie prosta linia przez lat 50. Widzę ją i zestawiam z równoległą linią wiodącą, od owego zamachu, którą poszli zwolennicy mechanistycznego torowania dróg dla wolności wogóle. Widzę też, że było coś symbolicznego, iż te drogi wówczas określały się jednocześnie.

W „Zecie" urabiano umysły w tym kierunku, aby rozumiały, że tworzyć trzeba od podstaw n a r ó d, aby się znalazł w stanie psychicznym i moralnym podmiotu dziejowego, dojrzałego do idei samodzielności politycznej. Socjaliści zajmowali się tronami obcych mocarstw, bądź w celu ich zwalenia, bądź umajenia bluszczem, a sprawa polska miała być zawsze tylko środkiem do celów odleglejszych.

Gdybyśmy przebytą przestrzeń czasu poznaczyli datami dziesięciolecі, to same daty wieleby nam powiedziały, jak różnie przez każdy z tych obozów traktowana była racja myśli polskiej: 1896 (nasz zjazd w Budapeszcie), 1906 (rewolucja), 1916 (wojna), 1926 (uzdrawianie Polski), 1936 — zawsze to samo nieporozumienie dwu szkół politycznych, dwu wiar, dwu psychik, dwu moralności.

Dobrze jest spojrzeć 50 lat wstecz, trzeba też patrzeć przynajmniej 50 lat przed siebie. Samą taktyką spychania spraw z dnia na dzień daleko nie zajedziemy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

P. S. W ostatnim (37) zeszycie „Merkurjusz Polski" przyciska mnie do muru, abym wyraźniej oznaczył, co miałem na myśli, pisząc w „Na widowni" (47), że Sienkiewicza osaczały wpływy lóż masońskich. Przeczytałem to już po napisaniu powyższego artykułu, żałuję więc, że nie mogę odpowiedzieć odrazu. Interpelacja musi poczekać na odpowiedź do nru 50, kiedy przyjdzie kolej na moją „Widownię".

GŁOSY

WSZYSCY TERAZ NA RZYMOWSKIEGO. Jeden tylko prezes Akademii Literatury Sieroszewski stoi przy nim murem czy to w procesie „Płomyka", czy wobec ataku z powodu popełnionego plagiatu: — Trzymaj się kolego - bracie, nie daj się.

Fakt bezceremonialnego przepisywania z cudzych książek i podawania tekstów za swoje poruszył żywo opinię publiczną. Rozbrzmiewa okrzykami zdziwienia. Trudno ludziom cywilizowanym uwierzyć, że potrafi takie rzeczy robić członek Akademji Literatury.

To dziwne, że panujący u nas od dziesięciu lat system nie oduczył nas dziwić się czemukolwiek złemu. Głębokie musi być nasze poczucie własności prywatnej, że zdobywamy się jeszcze na reakcję, gdy zachodzą fakty „wywłaszczenia bez odszkodowania". Tyle przecież było gloryfikacji czynów ekspropriacyjnych, tyle programów wywłaszczania, pomimo to, gdy Rzymowski obrabuje Russela, opinia się trzęsie. Rzymowski wiedział co robi, popierając robotę komunistyczną; niestety nie odważył się dokonać przewrotu, gdy „burżuje" go przyłapali.

Nie mamy zamiaru stawać w obronie tego osobnika, ale trudno nie wskazać okoliczności łagodzących jego winę. Odkąd sanacja użyła go do swych posług, mógł zatracić zmysł rozróżniania godziwości i nieprawości. Współzawodniczył o lepsze z kolegą, któremu uszły bezkarnie dziesiątki wyroków prawomocnych. Używany był do pisania najniegodziwszych oszczerstw, do systematycznego wprowadzania w błąd opinji publicznej, w nagrodę zasług na tem polu awansował na redaktora, na członka Akademji, do roli człowieka zaufanego, inspiratora politycznego.

A cóż znaczy krzywda, jakiej doznał R. Russel, w porównaniu z krzywdą, wyrządzoną Rzeczypospolitej? Oczywiście na to pytanie odpowiedzieć mogą sprawiedliwie tylko ci, dla których dobro publiczne ma jakąkolwiek cenę.

Oby tyle przynajmniej się odmieniło, żeby nadal Rzymowskich nie można było przezywać Reżimowskimi.

PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE „ZETU"

GRONO b. uczestników tajnego związku młodzieży narodowej p. n. „Zetu" zwołało na 28-my listopada r. b. w Warszawie, w pięćdziesiątą rocznicę założenia „Zetu", zjazd niektórych jego dawnych uczestników.

„Zet" założony został na tajnem zebraniu w Krakowie, w dniach od 14-go do 18-go stycznia 1887, w gronie dziewięciu przedstawicieli młodzieży z różnych stron Polski. Był on wśród młodzieży wyrazem rodzącego się wówczas narodowego ruchu wszechpolskiego, którego tajną również władzą kierowniczą stała się Liga Narodowa, pod przewodnictwem ś. p. Jana Popławskiego i Romana Dmowskiego, piastująca opiekę także nad „Zetem". Dzieje powstania i początków „Zetu" opisał ostatnio w osobnej pracy w r. 1930 jeden z przodujących, pod przewodem ś. p. Zygmunta Balickiego, założycieli jego i uczestników zebrania krakowskiego z r. 1887, ś. p. Stefan Surzycki, zmarły przed trzema miesiącami, a do końca życia przyjaciel serdeczny, także w pracy politycznej, podpisanych tu b. członków „Zetu" od lat najdawniejszych.

W zjeździe obecnym bierze udział tylko ten odłam przekonaniowy, który oddzielił się od ruchu wszechpolskiego, od Ligi Narodowej i od „Zetu" częściowo dwadzieścia lat temu, w czasie wojny 1914—18, przechodząc z czasem do obozu politycznego, któremu przewodniczył ś. p. Józef Piłsudski.

Więc tylko zjazd na 30-lecie lub 20-lecie wytworzenia się tego odłamu młodzieży narodowej nie stwarzałby nieporozumienia, jakie wywołać musi łączenie zjazdu jednej tylko i później powstałej grupy z hasłem 50-lecia „Zetu".

Daleka jest nam jakakolwiek niechęć wobec święcenia rocznicy, właściwie określonej, jako 30-lecie lub 20-lecie, przez powołane do tego grono którego przywiązanie do własnej przeszłości szanujemy. Ale dzieje i zasługi „Zetu" są nietylko drogie nam, lecz także ważne w rozwoju myśli politycznej i czynu politycznego na drodze ku niepodległości Polski. Nie możemy przeto pominąć ciążącego na nas obowiązku wskazania — a wiemy iż tak samo myślą nasi bardzo liczni dawni towarzysze pracy w „Zecie" — co znaczy 50-lecie „Zetu" i gdzie jest jego dziedzictwo.

Kraków—Lwów—Poznań—Warszawa—Wilno

Listopad 1936.

G. Z. Balicka, F. Bujak, L. Jaxa-Bykowski, S. Celichowski, St. Dąbrowski, E. Dubanowicz, St. Gieysztor, Wł. Jabłonowski, St. Jasiukowicz, St. Kasznica, C. Kędzierski, Wł. Konopczyński, St. Kozicki, I. Kozielewski, R. Leitgeber, K. Maj, C. Meissner, W. Mieczkowski, T. Mikułowski, T. Powidzki, S. Rowiński, R. Rybarski, C. Rydlewski, St. Rymar, J. Riemer, M. Seyda, W. Staniszkis, St. Stroński, Z. Wasilewski, B. Wasiutyński, B. Wierzyński, B. Winiarski, J. Załuska, St. Zieliński, A. Zwierzyński.

P. S. — Są to podpisy grona osób, które zdołało się porozumieć naprędce, ale nadchodzą wiadomości, że w różnych środowiskach kraju wielu b. członków „Zetu", narówni z podpisanymi tu uprawnionych, zgłasza podobne zastrzeżenia.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Powstało w Warszawie nowe czasopismo tygodniowe pod nazwą „Podbipięta". Bliżej określa jego charakter dodany podtytuł „Gazeta tygodniowa". Jak świadczy artykuł wstępny, zapowiadający linię ideologiczną pisma, będzie to wydawnictwo bezpartyjne, unikające rozdźwięków politycznych.

Redaktorem naczelnym „Podbipięty" jest Jan Rembieliński, kierownikiem działu literackiego St. Miłaszewski.

*

Jest do zanotowania poważne wydarzenie w historiografii polskiej. Ukazały się „Dzieje Polski nowożytnej" prof. Władysława Konopczyńskiego.

Tom I 1506—1648 liczy stron XII i 437, tom II, obejmujący lata 1648—1795—str. VIII i 460.

Z założenia swego miał to być podręcznik uniwersytecki, w rezultacie dostało nam się dzieło, które obiegnie wszystkie biblioteki i wszystkie biurka, daremnie od dłuższego czasu oczekujące na podstawową księgę dziejów Polski. Rozległa wiedza znakomitego badacza, a z drugiej strony talent jego pisarski czynią z tego podręcznika nieodzowne źródło informacji i ponętne w czytaniu dzieło podręczne dla każdego oświeconego Polaka.

Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa.

Postaramy się wkrótce o podanie recenzji.

W numerze obecnym przesyłamy wszystkim odbiorcom „MYŚLI NARODOWEJ" przekazy na P. K. O. w celu ułatwienia przesyłki prenumeraty na r. 1937.

Ponawiamy tutaj prośbę o wczesne nadesłanie przedpłaty.

ZE ŚWIATA SZTUKI

TADEUSZ MAKOWSKI

W DRODZE z Wenecji do Wiednia, przelotem niejako, gościła w IPSie, w Warszawie, wystawa dzieł Tadeusza Makowskiego. W Wenecji pokazywało dorobek Makowskiego na XX Biennale „Towarzystwo szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych", w Wiedniu będzie go wystawiała wiedeńska „Secesja". Dzięki skuteczniejszym o dzieła zmarłego malarza zabiegom obcych mogliśmy oglądać obrazy artysty w IPSie tylko przez dwa tygodnie.

Makowski zmarł w r. 1932-gim, w pięćdziesiątym roku życia. W Paryżu mieszkał od lat bez mała 25-ciu i przybył tu jako wychowanek krakowskiej Akademii Sztyk Pięknych, uczeń Mehofera i Stanisławskiego. Był to człowiek oddany całkowicie sztuce, cichy i skromny, za rozgłosem się nie uganiał, łokciami się nie rozpychał. Zalety jego charakteru, jak również poważny stosunek do sztuki, zjednały mu wielu przyjaciół, którzy po śmierci artysty utworzyli nawet „*Société des Amis de T. Makowski*". Ci zrzeszeni w „towarzystwo" przyjaciele zajęli się pogrzebem malarza, opiekują się jego spuścizną artystyczną, posługując się tym materiałem, przy urządzaniu wystaw.

Znany i ceniony przez artystów, pozostał Makowski prawie obcym dla swych rodaków w Polsce i u nas nieliczni tylko mają jakie takie wyobrażenie o jego sztuce. Za wyjątkiem paru obrazów, ja też znałem Makowskiego przeważnie tylko z reprodukcyj. Czytałem natomiast wspomnienia tego malarza o innym naszym artyście, o Ślewińskim. Ton tych wspomnień, oraz sposób pisania, styl prosty, spokojny i bezpośredni, a zarazem dziwnie zniewalający, wywołał w mej wyobraźni wizję ich autora, zupełnie zgodną z tem, co o nim słyszałem.

Tematem, do którego Makowski najchętniej i najczęściej powraca jest świat dziecięcy, główki i postacie dzieci. W obrazie p. t. „Kapela dziecięca" twarze są syntetycznie uproszczona, na oko niby zupełnie jednakowe, a jednak naprawdę bardzo subtelnie zróżniczkowane w wyrazie. W królestwie dziecięcych wierzeń ma prawo przebywać tylko ten, komu oschła codzienność nie wystarcza i widać, że artysta do tej krainy tęsknił. Delikatną czułość i wyraźny sentyment, ujawnione przez malarza w tych głowach dzieci, znaczą jego obrazy wyraźną cechą polskości. Bowiem sentyment (nie sentymentalizm), wraz z rozmachem i brawurą — jak to już nieraz miałem sposobność zaznaczyć—należą do zasadniczych cech polskiego malarstwa. Niejednokrotnie obie te cechy spotykamy jednocześnie w jednej indywidualności twórczej (np. u Chełmońskiego).

Taki jest ton uczuciowy dzieł Makowskiego, wspartych pozatem wielką wrażliwością na barwę, pogłębioną jeszcze w czasie długiego pobytu we Francji. W samym sposobie malowania dostrzegamy także kilka odmian. Z początku artysta maluje gładko, jednolitemi płaszczyznami. Obrazy z tego okresu (1918 rok) są trochę twarde, a zarazem wyraźnie znaczą dekoracyjność tematu. Powierzchnia płótna we wspomnianej już „Kapeli dziecięcej" (1922 r.) jest „zalizana", jakby pokryta barwną emalią. Później technika staje się bardziej delikatna, pozbawiona tej konkretności materiału. Farba ledwo muska płótno, pasma barwne rozpływają się, kolor wtapia się w kolor. Bardzo piękny i subtelny w kolorze obraz, wyobrażający powrót dwojga dzieci ze szkoły, tak właśnie jest malowany. Potem, zkolei, farba odzyskuje swe prawa bytu, leży teraz grubym pokładem na płótnie, nierówno, często grudkami, pokazuje swą maź i mastkość,

Lecz ważniejszą od tych przemian techniczno formalnych jest całkowita zmiana sposobu kształtowania postaci, jaką widzimy w ostatniej fazie twórczości artysty. Jaskrawość tej zmiany przed innemi rzuca się w oczy najmniej wyrobionej publiczności i przez nią najłatwiej będzie dostrzegana, lecz nie należy sądzić, by z tego tytułu była najmniej istotną. Przeciwnie, jest ona zjawiskiem niepokojącem i niełatwem do określenia, stawia przed nami pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Niepokojącem zaś, chociażby dlatego, że przynosi zmarłemu artyście plon pośmiertny taki, jakiego on najmniej oczekiwał. Stwarza atmosferę nader podatną do hodowli bakcyla snobizmu.

Aby to zrozumieć, należy wyjaśnić na czem ta zmiana polega. Oto artystę we wspomnianym okresie twórczości, nie zadawalało już dotychczasowe syntetyczne ujmowanie kształtu ludzkiego. Zamiast twarzy dziecięcych maluje teraz poprostu krążki, z paciorkami oczu, ze stożkami, lub przecinkami nosów, zamiast głów ludzkich zgoła pniaki nieociosane, z jakimiś kulfonami. Ręce teraz to rury, palce — kluchy.

Nieraz się zdarza, że artyście nie odpowiada zastana rzeczywistość, wtenczas stwarza własną wizję; jeśli ona zniewoli i przekona widza, nikt nie pyta dlaczego dokonano zmiany. Oczywiście każdy plastyk urabia pewną rzeczywistość po swojemu, tylko w tym celu, aby dać inną, w jego mniemaniu lepszą, pod względem artystycznym Korzyść tej zmiany musi widz zrozumieć.

Nowe kształtowanie formy u Makowskiego nie ma wcale cech prostoty przemyślanej, wyzutej z niepotrzebnych szczegółów. Nie jest to już prostota, do której się dochodzi stopniowo, drogą mozolnego wysiłku, a — nie wahajmy się tego powiedzieć—prostactwo. Widząc te nowe cechy, w obrazach artysty poważnego i szczerego, nie możemy ich powstania złożyć na karb lekkomyślności, dziwacznego kaprysu, lub chęci naśladowania innych. Makowski był malarzem rzetelnym. Nie sposób także tych nowych znamion jego malarstwa pominąć milczeniem, gdyż nie odgrywają one wcale roli pośledniej, przeciwnie: są wyraźnie i świadomie podkreślane. I tu się właśnie rodzi snobizm; odbiorcy sztuki Makowskiego, zamiast usiłować wytłumaczyć sobie i drugim to zjawisko, udają, iż doskonale rozumieją o co chodzi, ba! wmawiają nam, że w tej przemianie kryje się cały sens malarstwa zmarłego. Trzeba to sobie wyraźnie i jasno powiedzieć: jeśli chodzi o te kulfony, krążki, sześciany i t. p. malarstwo Makowskiego jest dobre nie dzięki temu, lecz mimo to.

Gdy się niema jednak prawdziwego wyczucia

wartości plastycznej obrazu, daje się zwykle wzamian b. poetyczny opis. Oto jak p. dr. Jerzy Sienkiewicz, urzędowy komentator Makowskiego, opisuje jeden z obrazów: „Starzec o jednym błyszczącym oku, zawiesistym wąsie, wgarbiony w swą pracę o schyłku dnia, prace wykonywaną w małym kącie izby, dzień po dniu, poniżej zakratowanego okienka, jednostajnie w rytmice musu i obowiązku, rytmice rzędu drewnianych łyżek i zawieszonych chodaków na szarosrebrzystej ścianie, na którą poprzez okno zakratowane padły już gorące odblaski zachodzącego słońca. Czyż nie jest to portret człowieka rzemiosła, oddany z przekonywającym realizmom.?“

W czasach, gdy się protestuje przeciwko mechanizacji pracy, gdy mówi się o prawie do twórczości i nawołuje z powrotem do warsztatu, a więc do rzemiosła, p. Sienkiewicz robi z szewca katorżnika. „Zakratowane“ okienko, które tak miało podkreślać „jednostajność musu i obowiązku“, okazuje się przy bliższem wejrzeniu zwyczajnem oknem z podziałem na szybki. Artysta namalował je dlatego, bo poprostu widziało mu się, że w tem miejscu taka plama będzie dobrze wyglądać. Nawiasem mówiąc, podobne „zakratowane“ okienko znajdujemy jeizcze na kilku obrazach.

Na innym obrazie, p. t. „Skąpiec”, oglądamy dusigrosza, wyobrażoneeo w takiej mniejwięcej postaci, jak bałwan ze śniegu, lepiony przez dzieci. P. Sienkiewicz pisze, że to „świetne studium psychologiczne”. Dlatego, że liczy pieniądze? Poco się tak zakłamywać? W ten sposób prawdziwych miłośników sztuki nie wychowamy.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

FILHARMONJA — Piątkowy koncert symfoniczny, na którym wykonano drugą symfonję *c—moll* Skrjabina, oraz trzeci koncert fortepianowy *c—dur* Sergiusza Prokofiewa, wywołał wiele uwag na temat rasowości i narodowości w muzyce.

Przypomniałem już kiedyś na innym miejscu słowa Strawińskiego, który postawił Skrjabinowi zarzut, iż ten zapomniał w muzyce o swojej rosyjskości, czego mu przecież czynić nie było wolno. Z drugiej znowu strony usłyszałem zdanie, iż np. „Ekstazę“ mógł napisać tylko Rosjanin.

Zdawałoby się, że w tych dwóch poglądach tkwi sprzeczność, że albo jedno jest prawdą, albo drugie. A jednak przy bliższym poznaniu dojdziemy do wniosku, iż, w rzeczywistości niema nic sprzecznego, wysuwa się tu bowiem sprawa świadomości poczucia narodowego w sztuce Są jednostki, które świadomie czerpią z pokładów kulturalnych narodu, są wszakże jednostki, które tkwią zagadnieniami myślowymi, czy też koncepcjami formalnymi poza pojęciem narodu, a jednak mimo wszystko, pozostają w związku ze swą rasą. Poza, bowiem, świadomością istnieje jeszcze niedoceniany, lub też konsekwentnie niszczony instynkt. I właśnie takim przykładem jest Skrjabin.

Napisałem „Poza narodem“, a nie „Ponad narodem” gdyż trudno mi się zgodzić z poglądem, który głosi, że jednostki genjalne wznoszą się w sferę wartości ogólnoludzkich. Nie stawiam ponad jednię duchową konkretną i mocno spojoną, zbiorowiska luźnego, jakim jest przecież w gruncie rzeczy ludzkość. Szekspir jest tak angielski, jak Dante włoski, a Homer grecki, nie mówiąc już o tym, że stosując miarę wyższości ludzkości ponad narodem zredukowalibyśmy wartość takich twórców, jakiemi byli Chopin i Wagner.

Skrjabin zagadnieniami swymi tkwił w filozofi. Dziecko czasu. Grzebał w niej jednak prawdziwie i typowo po rosyjsku. Sam sobie z tego może nie zdawał sprawy. Epoka, w której tworzył, z tą całą swoją masą problemów, powikłań myślowych, pesymizmu programowego, jakże żywo odbiła się w zwierciadle duszy artysty! I wielce charakterystyczne, że tak zrozumiale dla otoczenia rosyjskiego, tak jakoś „pryncypialnie”, aż stał się niemal jednym z ojców duchowych całego przełomu. Ojcem duchowym stał się rewolucyjnej muzyki zamkniętej w olbrzymim wprawdzie, ale gheccie państwa Związku Sowieckiego. Z dalekiego Paryża czyni mu zarzut Strawiński. Przyłączyłby się zapewnie i Prokofiew.

Słuchając żywą krwią pulsującego jego trzeciego koncertu, obserwując wspaniałe, nieokiełzane, wariackie niemal hasanie po klawiaturze, począłem znowu myśleć o słuszności i niesłuszności nazywania go kubistą, czemu się kiedyś stanowczo sprzeciwiłem jako bezsensowi zupełnemu. I teraz to odrzucam, ale... w tym skojarzeniu coś jednak jest. Co? Ten pajac, ulubiony motyw okresu wojującego kubizmu, ten pajac sekowany genialnie przez Picassa i Bragne'a, ten pajac źródło pomysłów formalnych i głębszych zastanowień, kolorowe, ciekawe w ruchu dziwo-człowiek. Prokopiew jest całkowicie z tamtych czasów, pięknych czasów, co to zapłodniły sztukę współczesną, dały jej możność rozwoju.

Niebudujący spór... Mało. Gorszący spór między Filharmonią a „Polskim Radjem”, uniemożliwił w piątek usłyszenia koncertu Szałowskiego. W zamien Leopold Münzer odegrał koncert fortepianowy *c—moll* Beethovena. O ile Prokofiew, również w jego wykonaniu, był za mało jaskrawy, o tyle *rondo* beethovenowskie za mało znowu miało wdzięku.

Zupełnie niepotrzebne było odegranie Vitolsa suity „Klejnoty”. Przyznam się że słowa programu objaśniające, że kompozytor reprezentuje „...kierunek dawniejszy, posługuje się środkami wyrazu muzycznego, dobrze znanymi: unika dróg nowych i ścieżek niewydeptanych...” przestraszyły mnie nie na żarty. Przekonałem się wkrótce, że program miał rację. Sugeruje opinje jaknajistotniejsze — suita była, jednym słowem, najpospolitszym banałem.

Wreszcie... „Lalita”. Nie wystawiony kiedyś w operze balet, czekający na „lepsze czasy”, które chyba — mam nadzieję — nie okażą się „gorszymi” i baletu wogóle nigdy nie wystawią. „Lalita” nieciekawa, jeśli idzie o formę, niebogata, jeśli idzie o pomysły instrumentacyjne, ma wiele fałszywego hinduskiego folkloru, co to może parę lat temu jeszcze się trochę podobał, dzisiaj rozśmiesza tylko w chwilach, gdy nie irytuje.

Wieniawski dostał w dniu święta Niepodległości nagrodę muzyczną Warszawy. Co jest warta twórczość p. Wieniawskiego mieliśmy okazję sprawdzić podczas piątkowego koncertu, o działalności zaś muzycznej laureta stolicy pisaliśmy już na łamach „Myśli“ nie raz i nie dwa...

W. NARUSZ

P. S. Jeszcze raz wracam do programu. Zdobi go artykuł p. t. „Czy uczyć dzieci muzyki?“ Ponieważ artykuł (podpisany przez Wiktora Hausmanna) mówi, że w dzisiejszych Niemczech rzucono hasło: „*Zurück zur Musik!*“, uważano za właściwe zrekompesować ten artykuł obszernym dopiskiem. M. in. czytamy co następuje: „Młodzieży dzisiejszej, której od lat najmłodszych wkłada się karabin do ręki, a serca karmi nienawiścią do „wrogów“ dalszych lub bliższych, tej młodzieży trzeba przynajmniej pokazać drogę do prawdziwych wartości kulturalnych. Utorowanie drogi do wiecznego piękna muzyki jest tu jedną z wielu możliwych odtrutek“. Podpis: dr. Zofia Lissa.

Wielce charakterystyczny fakt umieszczenia tego dopisku a w zestawieniu cały bezsens i bladość czasów, które u nas jeszcze niestety, przeżywamy. W. N.

NA MARGINESIE

Popełnić plagiat literacki — to nic nowego. Znane to dobrze sądom honorowym i państwowym przestępstwo. Ale przywłaszczyć sobie 50-letnie dzieje pracy politycznej paru pokoleń i stroić się w jej piórka — taka ekspropriacja jest nowością. Nie usprawiedliwia jej skrajna nędza idei i tradycji własnej, tak samo jak plagiatu nie usprawiedliwia nędza myśli i talentu.

Przydałaby się instytucja w rodzaju Prokuratorii Narodowej na wzór Prokuratorii Skarbu, któraby broniła od masonerii tytuły zasług historycznych.

POKŁOSIE

O „PRZYMUSOWEM“ LENIUCHOWANIU

SPRAWY WSI słusznie zajmują wiele miejsca w naszych troskach i dyskusjach. Na zasadzie najpierw obserwacji, a potem uczonej statystyki porównawczej przekonaliśmy się, że wieś nasza jest przeludniona i tylko nie jesteśmy pewni, czy 5, czy też 8 milionów par rąk jest na wsi zbytecznych i „przymusowo“ leniuchuje. Jednakże nie wydaje mi się, żeby dyskusja obejmowała to zagadnienie wszechstronnie.

Przeludnienie wyraża się u nas głównie w niedojadaniu i próżnowaniu, a czy widać go też w rezultatach gospodarki?

Bo przecież przeludnienie to nie tylko obfitość, ale nawet nadmiar rąk roboczych. Czy rzeczywiście go widać? Zacznijmy od zewnętrznego wyglądu zagród wiejskich, a przekonamy się, że w ogromnej liczbie wypadków, bodaj że w większości wyglądają tak, jakby właśnie brak było tych rąk, jakby nie było komu zająć się tym wyglądem i porządkiem. Musimy się niestety zgodzić z tem, że wygląd jest ubogi, ale czy konieczne jest, żeby był zaniedbany, nieporządny, żeby wszędzie przeświecały niezałatane dziury, a na podwórzach pełno było błota i gnojówki? Czy lenistwo i niedbalstwo w tym się objawiające jest naprawdę przymusowe?

Może ktoś lekceważyć ten wygląd zewnętrzny, jako gospodarczo nieistotny, jako estetykę, bez której można się obejść i zdrowo żyć. Oczywiście byłoby to nie bardzo mądre rozumowanie, ale czy w tych istotniejszych sprawach jest lepiej? Wystarczy wyjść w pole i z jakiegoś małego pagóreczka spojrzeć na łany lichego żytka. Jakże często trudno jest powiedzieć, co właściwie zostało w polu zasiane: żyto, czy też może oset z makiem polnym. Skąd bierze się tak straszliwe zachwaszczenie pól, skoro jest nadmiar rąk do pracy i czy należy tak łatwo rozgrzeszać te ręce z rzekomo przymusowego próżnowania?

Czemu plony w drobnych gospodarstwach są tak kiepskie, kiedy właśnie obfitość rąk do pracy powinna, jak się to dzieje gdzieindziej, sprowadzić za sobą typ nie polnej, lecz ogrodowej raczej uprawy z jej wysoką wydajnością. Pewno, że trzeba jeszcze innych do tego warunków, ale przecież praca rolnika jest najważniejszym z nich i daje rezultaty również i przy braku innych.

Niedawno w pismach ukazały się zestawienia inż. Curzytka, podające budżet konsumpcyjny małorolnego włościanina. Otóż rodzina, złożona z 8 osób spożyła w ciągu roku: 1077 kg. produktów zbożowych (w tym 727 kg. mąki żytniej), 3635 kg. produktów roślinnych w czy 1986 kg. ziemniaków i 350 kg. kapusty, 2115 kg. nabiału (w tym 226 kg. mleka chudego), 188 kg. mięsa i tłuszczów zwierzęcych, oraz zupełnie drobne ilości innych artykułów żywnościowych, np. cukru 2,2 kg.

Średni wydatek na to wyżywienie wynosi 80 zł. rocznie, czyli 22 grosze dziennie na osobę. Objętościowo wynosi ta żywność prawie dwa i pół kilo na osobę, ale dwie trzecie stanowią ziemniaki. Cukru przypada trzy czwarte grama na osobę dziennie, mięsa i tłuszczów 6 deka.

Dieta rzeczywiście nad wyraz mizerna i napawa obawą o przyszłość pokoleń tak żywionych. Ale i tu nasuwają się uwagi nad tą przymusową bezczynnością rąk. Gospodarz ów ma już ponad pięćdziesiątkę, dzieci dorosłe, lub dorastające; gospodaruje już prawdopodobnie od kilkudziesięciu lat na swojem. Czy rzeczywiście przez te lata nie mógł się dorobić chociaż paru uli, które polepszyłyby jego nieistniejący prawie budżet cukrowy o kilkanaście kilo miodu? Czy rzeczywiście nie dałoby się tam wyhodować pewnej liczby np. królików, co podniosłoby znakomicie pozycję spożywanego mięsa? Takich wynalazków porobili ludzie po świecie wiele, tylko u nas jakoś nie są skorzy do ich stosowania. A rąk jak widzimy nie brakuje, raczej tylko ochoty i umiejętności, ale ta nie jest tak znów droga, żeby była aż nie do osiągnięcia w ciągu wielu lat życia.

Mamy t. zw. „Przysposobienie rolnicze”. Trochę to zabawnie brzmi, że po jakichś dwóch tysiącach lat gospodarowania na roli mamy się jeszcze do tego przysposabiać. Ale trudno, widocznie tak jest, skoro rezultaty wykazują, że ten nasz odwieczny rolnik chodzi koło roli niedbale i nieumiejętnie, a opinia go z tego rozgrzesza i gotowa widzieć jedyne wyjście w reformie rolnej. Reforma niewątpliwie jest potrzebna, ale nie rozwiąże przecież sprawy, bo ziemi nie przybędzie i sedno w tym, żeby podnieść jej wydajność.

W ostatnim czasie zaczęto mówić u nas więcej o koloniach. Naturalnie jest to sprawa bardzo ważna z wielu względów, ale trzeba sobie powiedzieć, że kolonie, jako sposób ulokowania nadmiaru naszej ludności, to ostateczność. Dość już mamy Polaków rozproszonych po świecie, pracujących dla obcych interesów. Potrzebujemy przedewszystkiem u siebie zwiększenia ludności i nie wolno nam mówić o nadmiarze, dopóki nie wyzyskaliśmy wszystkich możliwości naszej ziemi. Kolonie zresztą nie spadną na nas z nieba, nie jest tak łatwo zdobyć dziś na świecie jakiś obszar, któryby był coś wart.

Wchłanianie ludności wiejskiej przez miasta nie pójdzie też w szybkim tempie i pierwszorzędną sprawą jest i pozostanie podniesienie wydajności roli, oraz stworzenie dodatkowego zajęcia w postaci wiejskiego, domowego przemysłu.

Przed paru laty przytaczaliśmy tu opis wsi małopolskiej (bodaj z tych samych stron, skąd pochodzą obliczenia p. Curzytka) podany przez T. Opiołę, który przyrównał wieś do nieczynnej elektrowni. Duża potencjalna energia, a naprawdę to w dzień powszedni dorośli mężczyźni nic nie robią, rajcują koło płotów i nadsłuchują, czy tam gdzie kura nie zagdacze na znak, że jajo zniosła, aby to jaje prędko w tajemnicy przed gospodynią wziąć i wymienić na papierosa w sklepiku. Otóż na takie nieczynne elektrownie nas nie stać, a z rozproszenia ich potencjalnej energii po świecie nie wiele nam przyjdzie. Trzeba je uruchomić na miejscu, a do tego pierwszy krok to nie rozgrzeszanie owego, rzekomo przymusowego lenistwa i nie godzenie się z tym, że na wielkich obszarach Polski pracują naprawdę, i nieraz nad siły, tylko kobiety wiejskie, mężczyźni zaś wybitnie próżnują.

ARGUS

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM